Zeszyt 8. Lwów dnia 10. Marca 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata
kwartalnie 3 złr. = 6 mark.
półrocznie 6 złr. = 12 mark.

Wychodzi
dnia 1go, 10go i 20go
każdego miesiąca.

W. Maniecki
Wydawca i odpowiedz. za Redakcją
we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XXIV.

(C. d.) Podczas gdy mąż pierwszy raz w życiu mierzył się z przeciwnikiem tak niebezpiecznym, pani Marja siedząc w pawilonie pomagała dziewczętom gumować i wyprężać liście palmowe. Dziewczęta były młode i bardzo przystojne; duże oczy, pełne blasku i wyrazu oświetlały regularne a szlachetne rysy ich twarzyczek, które mimo cery brunatnej były sympatyczne. Gdyby nie zęby umyślnie poczernione, co większość kobiet indyjskich za najwyższy powab uważa, obie byłyby nawet piękne. Z tych zębów pani Wybicka zaczęła dziś żartować.

— My tylko zęby sobie malujemy — przemówiła młodsza — kobiety zaś europejskie nieraz całe się malują. Ubiegłego tygodnia przyjechał do pastora jakiś Francuz z żoną, która tak była wymalowaną, że jak wyszła na przechadzkę, wszystkie dzieci za nią biegły.

Na uwagę tak zręczną trudna była odpowiedź; mimo to pani Marja jeszcze przemówiła:

— Masz słuszność, mała, chociaż to mnie zupełnie nie przekonało o piękności waszego zwyczaju. Zaiste, nie rozumiem, jak mąż mający żonę z czarnemi zębami, może ją w usta pocałować.

— A ja to rozumiem — odcięła się dziewczyna — bo przecie mąż nie w zęby całuje... lecz za to nie pojmuję, jak można całować w lakier, nie w twarz.

Z przytomną dziewczyną nie łatwo było walczyć. Pani Wybicka sprowadziła też rozmowę na inny przedmiot.

— Czemu wasi mężczyzni — zapytała — mają często wejrzenie ponure, mimo że prawie zawsze są serca dobrego?

— Bo „haszysz“ zażywają, który każdemu z nich sprawia rozkosze Nibanu, powoli jednak człowieka rozstraja zupełnie i do grobu wtrąca przedwcześnie.

— A wy nie zażywacie haszyszu?

— Kobiety używają go czasem, dziewczęta nigdy.

Pani Wybicka chciała jeszcze o coś się zapytać, lecz w tej samej chwili starsza z dziewcząt z okrzykiem porwała się ze swego siedzenia. Nie uważając na lampkę, która klej rozgrzewała, przysunęła do niej zbyt blisko cały pakiet liści. Płomień udzielił się liściom, które z szybkością błyskawicy palić się zaczęły. Dziewczęta rzuciły się na ogień, chcąc go zgasić, lecz naprożno; poparzone odskoczyły, a widząc grożące niebezpieczeństwo, cały bowiem pawilon był suchemi liśćmi zapełniony, wybiegły do ogrodu, wołając o ratunek.

Pani Marja postrzegłszy, że praca całoroczna z dymem ulata, szalem, który miała na kolanach, usiłowała jeszcze płomień ugasić; zamiar jednak nie powiódł się, przeciwnie jej własna suknia zaczęła palić się w dwóch miejscach. Wtedy tracąc przytomność z rękami podniesionemi do ogrodu wybiegła. Gwałtowny ten ruch podsycił płomień... gdy nieszczęsna znalazła się przed pawilonem, była już jednym słupem ognistym.

Wandzia na pierwszy krzyk dziewcząt uciekających przestała grać i bez tchu do ogrodu pobiegła. Właśnie wtedy pojawiła się matka.

Chciała do niej przyskoczyć i ratować, ale biedna kobieta bojąc się by córki to samo nie spotkało, krzyknąwszy:

— Precz! precz! — upadła na ziemię, po której taczać się zaczęła. Miasto ratunku znalazła swój grób. Sucha trawa zajęła się w tem miejscu i jedna fala płomienia pokryła nieszczęśliwą!...

Wandzia stała bezprzytomna jak posąg.

Zbiegła się służba, wodą ugasiła płomień nad swoją panią, życia jednak nie wlała w czarne, spalone ciało. Gdy córka z wzrokiem obłąkanym przy niej uklękła, szepnęła głosem cichym:

— Pożegnaj ojca... Bolcia — i skonała.

Wandzia padła na martwe zwłoki.

Okropna ta scena trwała ledwie minut kilka. Gdy płomień wyrwawszy się z wnętrza pawilonu, ogarnął jego szczyty, pani Wybicka już nie żyła...

Nazajutrz rano wracali myśliwi, wioząc wspaniałą skórę tygrysią; chociaż „Grubuś“ miał tylną nogę obwiązaną, drapieżnik bowiem nie uląkłszy się jego twardej skóry, dobrze ją pokaleczył, szedł prędko aby od swojej pani otrzymać pochwałę za zręczność, przezorność i odwagę.

Master Ellington ciągle jeszcze upewniał, że gdyby nie on i syn jego, tygrys byłby bądź uciekł, bądź wszystkich strzelców pozabijał; sir Wiliam siedział jak dawniej sztywnie z oczyma przed siebie wlepionemi; Wybicki zaś jechał z sercem przepełnionem radością i obawą. Cieszył się, że przed żoną i córką popisze się zwycięstwem; a bał się sam nie wiedząc czego. Nie raz dłużej bawił za domem, a jednak nigdy jeszcze nie wracał takim niepokojem trapiony. Żona była smutna gdy go żegnała... może chora? A prócz tego ubiegłej nocy taki sen miał nie miły! Każdy Polak prawdziwy, żyjąc więcej uczuciem niż rozumem, chociażby nawet większe pół wieku spędził wśród obcych a zimnych ludzi, nie przestanie nigdy wierzyć w sny i przywidzenia, które niezbadane przez rozum ludzki, rodzą się w świecie wyobraźni, połączonym jednym węzłem ze światem uczucia.

Im bliżej był domu, tem większy przejmował go niepokój, a gdy stanęli na małym wzgórku, zkąd był widok na wieś i jego dworek, pierwszy krzyknął:

— Boże! mój pawilon spalony.

— Aha, prawda — rzekł master Ellington.

— *Yess* — dorzucił sir Wiliam.

Odtąd słoń pędził galopem, co Ellingtonowi nie bardzo się podobało, każdej bowiem chwili mógł wypaść z huddahu; trzymał się więc jedną ręką skrzyni, drugą syna, aby tym sposobem zabezpieczyć i siebie i Wiliama.

Stanęli przed domem, którego okna były otwarte. Wybicki nie wiedząc kiedy i jak ze słonia zeskoczył, miotany najstraszliwszem przeczuciem, znalazł się na ganku, a nie zważając na ludzi którzy tam byli zebrani, wpadł do salonu. Na środku stał katafalk, na nim między świecami jarzącemi leżała w trumnie jego żona, mająca białą gazą twarz zasłoniętą. Na boku siedział ksiądz Markett.

W drżących rękach trzymał on głowę Wandzi, która klęcząc przed nim, gorżko płakała; usta kapłana odmawiały słowa modlitwy za umarłych.

Mąż z obliczem, w którem kropli krwi nie było, z włosem zjeżonym, z oczyma obłąkanemi, które przestrach na wierzch wysadził, przyskoczył do trumny i podniósł zasłonę z twarzy umarłej.

— Ach! — krzyknął takim głosem, jaki tylko z serca pękniętego wyrwać się może, i oburącz chwyciwszy się za głowę, padł na krzesło. Skamieniał! Do nikogo nie mówił, nikogo nie widział, nic nie czuł. Z głową na dłoniach, łokciami o stół oparty, przesiedział dzień cały, noc całą i dopiero drugiego dnia rano, jakby z okropnego snu zbudzony, podniósł głowę. Twarz zmieniła się nie do poznania, oczy zapadły się głęboko, na głowie zaś miał dziesięć smug białych. Pod naciskiem palców, które bolały z całym organizmem, włos jak śnieg pobielał... Wczoraj jeszcze mężczyzna pełen sił i kwitnący — dziś był starcem złamanym.

Podczas gdy to się działo w salonie, master Ellington wziął syna na bok i rzekł:

— Wielkie nieszczęście... bardzo wielkie! Ale my nie winni... Teraz nic nam nie pozostaje, jak wynieść się coprędzej, aby im nie zawadzać. My tu nic nie poradzimy.

Sir Wiliam milczał.

— Chodź, chodź Wiliamie... Zabierzemy rzeczy i za kwadrans będziemy w drodze. Jestem wprawdzie głodny, lecz trudna rada! Może dostaniemy co w najbliższej gospodzie.

Sir Wiliam stał ciągle na jednem miejscu nic nie mówiąc.

— Idziesz Wiliamie, czy nie? — zawołał ojciec prawie gniewnie.

— Nie.

— Czyś oszalał! A tobie co się stało?

— Nic.

— Więc czemu nie chcesz jechać?

— Bo w takiej chwili nie godzi się ich samych zostawić.

Daremne były prośby i perswazje ojca. Wiliam jak skała nieugięty, odpowiadając na wszystko lakonicznem: nie! został dwa dni jeszcze i przez ten czas jakby brat i syn, który wśród nieszczęścia sam jeden przytomności nie stracił, zajmował się pogrzebem i losem biednych tułaczy. Dopiero gdy ziemia skryła zwłoki nieszczęśliwej i gdy zobaczył, że Wybicki i Wandzia w części przy-

najmniej odzyskali równowagę umysłu, wyprowadził cichaczem ojca z pokoju i ukradkiem odjechali.

— Co to za człowiek, ten Wiliam — myślał sobie w drodze master Ellington — dwa dni zajmował się obowiązkami tak przykremi, przez cały czas prawie nic nie jadł, a teraz wynosi się jak złodziej... Nawet nie chciał, by mu podziękowali. Nie zaiste! ja go nie rozumiem.

XXV.

W Patna, przy jednej z ulic główniejszych, którą zamieszkiwali sami Europejczycy, widać było domek niewielki, postawiony w stylu krajowym, z dachem potrójnym i werandą przestronną, cały osłonięty roślinami wspinającemi się na jego mury. W tym domku mieszkał Stanisław Wybicki ze swoją rodziną, to jest z Wandzią i Bolciem.

Po śmierci żony, którą Bóg mu zabrał wśród tak okropnych okoliczności, złamany na ciele i duszy, nie mógł dłużej zostać w miejscu, gdzie każdy kamyczek, każde drzewo przypominało mu tę, której na tym świecie już nigdy nie miał zobaczyć. Dopiero teraz, gdy zmierzył cały ogrom swojej straty, przekonał się jak ją kochał. Boleść jego była cicha, ale za to tem głębsza, bezgraniczna. Chociaż łzy w jego oczach rzadko się pokazywały, córka, która z niego oka nie spuszczała, mogła by nie jedno powiedzieć o jego boleści, bo tylko ona jedna należycie go rozumiała. Raz, i to w tydzień po pogrzebie zapytał: Czy przypadkiem pożar powstał? a gdy potwierdzającą otrzymał odpowiedź, w mogile swojego serca ukrył ból cały i więcej szczegółów nie żądał. On bał się roztrząsać te wspomnienia, aby mu z żalu serce nie pękło. A on żyć potrzebował dla swoich dzieci.

Ksiądz Markett, pastor, Europejczycy mieszkający w okolicy, za nimi nawet krajowcy przychodzili do jego domu ze słowami pociechy; z drugiej strony Wandzia myślała dzień cały o ojcu, o jego potrzebach, wygodach, usuwając z drogi wszystko, co by mu najmniejszą przykrość sprawić mogło. Współczucie obcych i ta miłość córki były jedyną osłodą jego chwil gorzkich.

Między tymi, którzy go odwiedzili, znajdował się także przełożony klasztoru buddystów, Alompra. Służba przyniosła go w lektyce, obok której postępowało sześciu mnichów. Godność „Tsayadauha“ (prowincjała-arcybiskupa) nie pozwalała mu pokazywać się między ludźmi bez świty. Mnisi zostali jednak na dworze; Alompra wszedł sam do domu.

Wybicki nie spodziewając się u siebie gościa tak dostojnego, był chwilę zakłopotany, zwłaszcza że sędziwe oblicze przybyłego było dziwnym owiane urokiem; wkrótce atoli zakłopotanie pierzchło, Alompra bowiem mówił słodko, łagodnie, jak kochający ojciec do swoich dzieci.

Wynurzywszy swój żal, że dotąd nie miał sposobności poznać bliżej rodziny tak zacnej, o której wszyscy mówią z najwyższem uznaniem, poświęcił następnie kilka słów rzewnych zmarłej, a zwracając się do ojca i córki, jakby kapłan chrześcijański, mówił im długo i pięknie o obowiązkach tych, którzy po zmarłych zostają. Zakończył zaś temi słowy:

— Nie płaczcie, nie wyrzekajcie, bo czysta ta dusza napiwszy się Amrity, cudownego napoju nieśmiertelności, jest dziś szczęśliwą w Nibanie, mogąc zatapiać się w bóstwo swoje. Na Lotus świętego prawa przysięgam wam, duch waszej żony i matki nie żąda łez od was, ale wytrwałości i zacnej pracy na drodze tego życia, abyście oczyszczeni mogli potem z nim się połączyć. Niech oko Gautamy czuwa nad wami, a jego prawica was osłania!

Gdy Alompra wyszedł, ojciec i córka długo zostawali pod urokiem jego osoby. W ruchach jego jakaż była szlachetność, w postawie powaga, słodycz w głosie, a jaka tkliwość w mowie! Zaiste, wśród Europejczyków cywilizowanych trudno o postać równie piękną, chociaż Europejczycy każdego Indjanina barbarzyńcą nazywają. Oni chyba dla tego są barbarzyńcami, że teokracja spowodowała u nich nieruchomość w życiu moralnem, lecz mimo to nie zapominajmy, że od trzech tysięcy lat wierzą w nieśmiertelność i bóstwo niewidzialne, bezcielesne, duchowe!

Wybicki przekonawszy się po kilku tygodniach, że pobyt jego w Mokejohoo stał się nadal niemożliwym, oddał dozór nad swojem gospodarstwem pierwszemu Anglikowi, który się nawinął, sam zaś zebrawszy trochę gotówki, wyjechał z córką do Patna, gdzie z dziećmi zamieszkał. Przed odjazdem był u Alompry, aby go pożegnać; staruszek błogosławiąc mu, miał oczy łez pełne.

Jak długo miał w Patna pozostać, nie wiedział. Widząc, że Indje przestały mieć dlań urok jakikolwiek, a tęskniąc coraz bardziej do kraju, postanowił tylko tak długo w tych stronach zabawić, dopóki by nie uporządkował spraw majątkowych; poczem nieodwołalnie miał wrócić do Polski.

Bolcio dowiedziawszy się o śmierci matki, mimo że go siostra na tę smutną wiadomość długo przygotowywała, popadł w takie rozdrażnienie nerwowe, że lękano się o jego życie. Nie mówił, nie spał, nie jadł; to zrywał się niespokojnie i majaczył, to na dłuższy lub krótszy czas zapadał w odrętwienie, w którem tracił wszelką czułość. W takim stanie można go było kaleczyć, żelazem palić, a jęku byłby nie wydał. Po kilku tygodniach wprawdzie mu się polepszyło, ale

widoczną było rzeczą, że nowy ten cios podkopał jeszcze bardziej nadwątlony organizm. Lekarze badali chłopca, lecz choroby jego dokładnie nie poznali, ani na nią stosownego nie mieli lekarstwa. Wszystko co radzili, okazało się bezskutecznem. Najlepszem jeszcze dla niego lekarstwem był spokój. Wiedziała to Wandzia i dla tego chociaż ją serce bolało, o matce przed Bolciem nigdy nie wspominała. Między ojcem a bratem stała ona sama jedna, z pamięcią okropnego zdarzenia, którego była świadkiem, a którego nikomu opowiedzieć nie mogła. A wśród boleści po stracie matki byłoby to przecie dla niej ulgą prawdziwą, gdyby wspomnieniami mogła się z kim podzielić i wespół popłakać! Ona, to młode niedoświadczone dziewczę, ona jak starzec miała już swoje wspomnienia... a jakie straszne!

Wypadek zrządził, że do Patna przyjechał lekarz, zażywający w Bombaju sławy rozgłośnej. Wybicki zaprosił go do siebie. Oglądnął Bolcia, opukał, wybadał, a potem rzekł, że dłuższy pobyt na pełnem morzu mógłby mu pomódz najwięcej. To oświadczenie Wybickiego ostatecznie zdecydowało. Odtąd liczył już dni i godziny, kiedy Indje opuści.

Zostawiwszy dzieci pod opieką właścicielki domu, Angielki starszej wiekiem i bardzo przyzwoitej, pojechał sam do Mokejohoo, aby posiadłość swoją sprzedać jak najprędzej. Gospodarstwo znalazł w stanie najgorszym, rządca bowiem myślał więcej o sobie, niż o właścicielu, skutkiem czego wartość ziemi i plantacyj znacznie się zmniejszyła. W dodatku okoliczni spekulanci, znając jego stosunki i wiedząc, że prędzej lub później będzie musiał wszystko sprzedać, postanowili znękać go zwlekaniem, w końcu zaś jak najmniej ofiarować. Szatański zamiar, godny synów Albionu, którzy niszcząc Indje mówią, że je cywilizują, byłby się może urzeczywistnił, gdyby nie zacny Alompra, który dowiedziawszy się przypadkiem, co Wybickiemu grozi, wezwał go do siebie i bez targu kupił jego posiadłości dla klasztoru. Chrześcijanie chcieli go zniszczyć, „poganin“ pomógł mu w chwili najkrytyczniejszej.

XXVI.

Podczas gdy ojciec biedził się sprawami majątkowemi, Wandzia niecierpliwie wyglądała jego powrotu. Jej już pilno było usłyszeć, kiedy jadą, bo nietylko pragnęła rozstać się z temi stronami, gdzie prócz grobu matki nic nie zostawiała; nietylko tęskniła do ojczyzny swego ojca, która wkrótce miała być także jej ojczyzną, ale co najbardziej zachęcało ją do wyjazdu, to nadzieja, że Bolciowi polepszy się w podróży. Wandzi zdawało się, że odkąd bratu matki zabrakło, ona powinna mu być matką i siostrą. Do ich miłości przyłączył się więc nowy węzeł, węzeł sieroctwa, który łączy potężnie, jak każde nieszczęście. Ludzie wiecznie swobodni i weseli nigdy tak się nie kochają, jak ci, którzy wespół cierpią. W gronie wesołych biesiadników, przy kielichu i muzyce, robią się znajomości; wśród walki o jutro, wśród niebezpieczeństw i boleści zawiązuje się przyjaźń prawdziwa.

Kto wie, czy na postanowienie Wandzi, aby coprędzej Indje opuścić, prócz powodów, któreśmy już przytoczyli, jeszcze co więcej nie wpłynęło. Sir Wiliam bywał u nich gościem codziennym, a chociaż mało mówił i zawsze był sztywnym, bystre oko kobiece wspierane instyktem odgadło, że poważny inżynier miał względem niej jakieś zamiary. Gdyby była zalotną, sprawiło by jej to może przyjemność, ale ona tak daleką była od tej wady! Zresztą mając serce tkliwe nie chciałaby nikomu sprawić przykrości, tem mniej zaś sir Wiliamowi, który o ile jej się zdawało, musiał być lepszym od innych Anglików. Wszak nie zapomniała, że na pogrzebie matki on się wszystkiem zajmował, chociaż nikt go o to nie prosił, ani potem nikt mu za to nie dziękował.

Wandzia nie zawiodła się na swojej domyślności. Na kilka dni przed powrotem ojca, między godziną trzecią a czwartą z południa, właśnie gdy rozmawiała w parloarze z właścicielką domu, pojawił się we drzwiach sir Wiliam Ellington, z bukietem w jednej a parasolem i kapeluszem w drugiej ręce. Inżynier tak świetnie wyglądał, że obie kobiety na jego widok o mało głośnym nie parsknęły śmiechem. Mimo że włosy, wąsy i nader rzadkie bokobrody miał żółte, przywdział w tym dniu uroczystym całe ubranie z nankinu także żółtego koloru, pod szyją zaś, za poradą jakiegoś niesumiennego przyjaciela, który go upewnił, że w pąsowym kolorze bardzo mu do twarzy, zawiązał chustkę pąsową, której końce szerokie spadały na piersi. Twarz jego była z ubraniem w zgodzie najzupełniejszej. Koloru prawie takiego samego, a przytem dziobata, miała nos gruby, potężny, którego koniec czerwoną chustkę przypominał; oczy malutkie, zgubiwszy się pod czołem niskiem, silnie naprzód wysuniętem, zaledwie dawały znaki życia; usta grube i szerokie nie sprawiały miłego wrażenia, uszy zaś odstając po obydwu stronach głowy, uzupełniały fizjognomię, która pod względem brzydoty nie miała sobie równej. Natura, jakby jeszcze za mało zażartowała sobie ze sir Wiliama, dała mu nad miarę długie ręce i nogi, co go niesłychanie pociesznym robiło.

Mistress Fick objęła położenie jednym rzutem oka. Ten dżentelmen z bukietem, tak suto wystrojony, przyszedł się pewnie oświadczyć. Nie

od dziś uważała ona, że sir Wiliam siedząc obok Wandzi, nieraz wzdychał głęboko, a gdy żaden Anglik nie wzdycha bez powodu, więc musiał mieć powód ważny, który u człowieka tak młodego nie mógł się czem innem, jak tylko miłością nazywać. Wprawdzie nie było mu do twarzy z tem uczuciem, które tak jest w sobie zaślepione, że najchętniej pięknych zalicza do swoich wybrańców — ale mój Boże! czyż każdemu dano być orłem? A dobroczynne słońca promienie czyż nie ogrzewają tak samo mocarza świata, jak najmniejszego robaczka? Sir Wiliam mógł zatem kochać, bo był człowiekiem młodym, według twierdzenia ojca bardzo przystojnym i miał w dodatku przyzwoitą posadę inżyniera rządowego!

Mistress Fick porobiwszy w duchu te uwagi, pod pozorem przygotowania sobie robótki przeszła na drugi koniec salonu, gdzie w małym stoliczku zaczęła przewracać różne drobiazgi. Chociaż według zwyczajów angielskich, młode panienki same przyjmują odwiedziny mężczyzn, zawsze wypada, by obecną była przynajmniej rówieśnica tej, której kawaler składa wizytę; a ponieważ w salonie nikogo nie było, Bolcio bowiem wyszedł na przechadzkę ze swoim nauczycielem, więc mistress Fick postanowiła zostać, wszakże w takiem oddaleniu, by młodych ludzi nie potrzebowała podsłuchiwać, a jednak by Wandzi mogła być pomocną w razie jej wielkiego zakłopotania. Mimo lat czternastu, które pod gorącem niebem indyjskiem dzieci w dojrzałe panny przemieniają, Wandzia była niedoświadczoną w sprawach sercowych, bo jeszcze się nie kochała. Tylko miłość sama jest tu najlepszą nauczycielką i doradczynią.

Sir Wiliam uradowany, że z Wandzią będzie mówił bez bliskich świadków, przystąpił do niej, usiadł, a trzymając ciągle bukiet w jednej ręce, w drugiej zaś parasol i kapelusz, zamiast usta otworzyć, oniemiał. Biedny chłopiec od dni kilku przygotowywał sobie mowę stosowną, ale gdy stanął przed nauczycielem, mimo że ten był młody, piękny i dobry, zapomniał lekcję od początku do końca. Położenie Wandzi było nadzwyczaj przykre. Współczucie nakazywało litować się nad nim — nerwy pobudzały do śmiechu. Bojąc się, by jej w rzeczy samej siły nie opuściły, nie podnosiła już głowy, aby mu w oczy nie spojrzeć, lecz trzymała ją nad kanwą, po której szybko biegały jej paluszki różowe. Przykremu wyczekiwaniu należało wreszcie kres położyć.

— Dziś musi być gorąco — przemówiła.

— *Yess*, miss Wancza — odrzekł kawaler, na którego czole tym razem pot nie tyle był gorący, co zimny.

Nowe milczenie.

— Śliczne masz pan kwiaty — przemówiła po niejakim czasie, chcąc go z kłopotu wybawić.

— To dla pani, miss Wancza, dla pani!

Mówiąc to podał jej bukiet. Spojrzała na niego. W malutkich jego oczach tyle było prośby, na całej twarzy tyle rzewności serdecznej, że dziewczyna nie mogła odmówić i kwiaty przyjęła. Czy jednak dobrze zrobiła? Wszak tem upoważniła go do oświadczyn, których z całej duszy pragnęła uniknąć.

— Gdybym miał najpiękniejsze kwiaty Indyj, wszystkie bym pani ofiarował! — zawołał patetycznie, zbierając odwagę.

— Zbyt uprzejmy pan jesteś — odparła dość sucho.

— Nie tylko kwiaty, lecz wszystkie skarby Indyj złożyłbym u nóg pani!

— Łatwo to ofiarować, co nie jest naszą własnością — odpowiedziała Wandzia z uśmiechem dwuznacznym. Widząc do czego to wszystko zmierza, a chcąc bądź co bądź wstrzymać jeszcze sir Wiliama na pochyłości, po której leciał, rzuciła mu umyślnie niegrzeczność, aby go oblać nią jak zimną wodą. Broń sarkazmu, używana tyle razy przez kobiety całego świata a prawie zawsze z powodzeniem, zawiodła jednak i nie dotknęła Anglika, który wśród przeciwności stawał się nieugiętym.

— O! miss Wancza — przemówił spokojnie — jabym je oddał i wtedy nawet, gdyby były moją własnością. Każde moje słowo jest święte, bo dobrze wpierw rozważę, nim je wypowiem. Ja na wiatr nie lubię mówić.

Wandzia spojrzała na niego okiem niespokojnem; ona bała się, by sir Wiliam nie zechciał za wiele powiedzieć. Obawa przyszła za późno, kość bowiem była już rzucona.

— O tak, miss Wancza, ja wszystko mówię z namysłem i zanim tu dziś przyszedłem, długo wpierw zastanawiałem się nad tym krokiem. W Kalkucie byłaś pani jeszcze dzieckiem, a ja już wtedy patrzyłem na ciebie jak na zjawisko nadziemskie, lubo ty na mnie uwagi nie zwracałaś. Ojciec mój myśląc, że małżeństwo z tobą pani mogłoby być dla nas dobrym interesem, namawiał mnie, byśmy tu jadąc po drodze do was wstąpili... Przyznam się pani, że długo się wahałem... Ojciec myślał, że nie chcę, ja natomiast chciałem, lecz się bałem...

— Zapewne tygrysów! — przemówiła Wandzia myśląc, że jej się przecie uda wszystko w żart obrócić.

— Nie pani, nie tygrysów — odparł Anglik spokojnie — ale ciebie!

— Mnie?

— Tak jest, miss Wancza, ciebie! Wiedziałem

że zobaczyć cię a nie pokochać, będzie dla mnie rzeczą niemożebną... pokochać zaś a wzajemności nie znaleźć, byłoby ciosem śmiertelnym. Oto czego się bałem...

Wandzia pobladła; nikt jeszcze do niej tak nie przemawiał, a chociaż serduszko dziewicze nie doznało wrażenia rozkoszy, jak wtedy, gdy do niego kołacze serce uczuciem pokrewne, zawsze będąc dobrą, wdzięczność czuła nawet dla tego brzydkiego Anglika, że nie patrzy na nią okiem obojętnem. Wszakże uczuć swoich zdradzić nie chciała, aby w nim nadziei nie podsycić. Przeciwnie udając największą obojętność, spoglądała dalej na kanwę.

— Powiedziałem ci prawdę pani — ciągnął sir Wiliam spokojnie, chociaż pod lodem wrzało w jego piersi; — nie pokochać było niepodobieństwem, i jam też ciebie pokochał całem mojem jestestwem! A teraz wolnoż zapytać, czy mogę liczyć na wzajemność?

Zakłopotanie Wandzi osiągnęło szczyt najwyższy. Przyznać nie mogła, a odmówić wprost znaczyło zranić człowieka, który jak brat opiekował się nimi po śmierci matki. Zresztą żadna kobieta szlachetna nie odtrąci w takiej chwili mężczyzny suchą odmową. Próbowała więc wybiegu.

— Bardzo panu wdzięczną jestem — przemówiła głosem od wzruszenia lekko drżącym — za słowa sympatji, na które sobie niczem nie zasłużyłam, ale zapominasz sir, że ja jestem katoliczką po ojcu i matce, ty zaś protestantem. Prócz tego jesteśmy różnej narodowości.

— O różnicy wyznania mogłaby być wtedy mowa, gdyby związkowi naszemu nic innego nie stało na przeszkodzie, a co do narodowości, to zdaje mi się, że uczucie jest kosmopolitycznem. Ja jako inżynier mogę mieszkać tak dobrze w Indjach, jak w Anglji lub Polsce. Ojciec twój pani był dobrym Polakiem, a chociaż ożenił się z Irlandką, nigdy tego nie żałował.

Na takie uwagi Wandzia nie była przygotowana.

— Powiedz więc pani prawdę całą — napierał sir Wiliam z tym spokojem nieugiętym, który znamionował każdy czyn jego — powiedz, czy na sympatję moją możesz równą odpowiedzieć sympatją?

— Ciekawam bardzo na co panu takich zeznań... i tak wkrótce ztąd wyjedziemy...

— Właśnie dla tego, że państwo wyjeżdżacie, radbym wiedzieć, czy mogę liczyć na panią. Jeźli powiesz pani, że będziesz moją, czekać będę jak długo zechcesz i przyjadę za tobą choćby na koniec świata.

Wandzia, w której sercu wdzięczność i współczucie dla tak dobrego człowieka staczały bój zacięty ze wstrętem dla osoby Wiliama, nie wiedząc jak wybrnąć z przykrego położenia, miała już oczy łez pełne. Jest to ostatnia raz zaczepna, raz odporna broń kobiety, w obec której następuje zawsze kapitulacja mężczyzn.

— Pani może boisz się — mówił dalej młody człowiek — czy ja nie jestem taki zimny, samolubny, jak każdy Anglik?... Ale nie, miss Wancza! Ja tylko powierzchownie wyglądam tak szorstko, chropowato... Tu, tu, ja wyglądam inaczej.

Przy ostatnich słowach, palcem wskazującym prawej ręki, uderzył kilkakrotnie w lewy bok surduta nankinowego, jakby na serce wskazywał.

— Ja panu z całej duszy szczęścia życzę — przemówiła Wandzia nareszcie, widząc że nawet pani Fick nie pospiesza jej z pomocą, chociaż kikakrotnie rzuciła na nią błagalne spojrzenie; — ja panu życzę najlepiej i dla tego proszę cię, sir Wiliamie, skieruj swoje uczucia ku osobie lepszej, szlachetniejszej, która je prędzej zrozumie i oceni.

Było to wszystko, co mogła powiedzieć; łzy przerwały dalszą mowę. Jakiś czas taka cisza panowała, że słychać było jak motyle skrzydłami biły o okno. Anglik siedział milczący, lecz gdyby Wandzia miała była odwagę spojrzeć teraz na niego, bladością jego twarzy i blaskiem oczu, w których łzy się szkliły, byłaby się przelękła.

— Rozumiem cię, miss Wancza — rzekł ciszej — ty mnie kochać nie możesz, bom brzydki... To tylko mój ojciec zawsze we mnie wmawiał, żem bardzo przystojny, ale już w szkołach śmieli się ze mnie koledzy, nazywając mnie żółtym szparagiem, teraz zaś moja gospodyni mówi o mnie, że wyglądam jak pająk... Tak, tak, jestem brzydki, bardzo brzydki!

— Jam przecie tego nie powiedziała.

— Ale twoje oczy to mówią... Nie dziwię ci się, miss Wancza, nie!... Kobieta tylko to kocha, co jej przyjemność sprawia, brzydki zaś mężczyzna wstręt w niej budzi. Ja to wiem! Ona temu nie winna, już taka jej natura... Ale mimo żem taki brzydki, mam serce nie-angielskie i dla tego chociaż mnie odtrącasz, chociaż nie chcesz mojej miłości, ja ci ofiaruję przyjaźń braterską. Czy chcesz ją przyjąć, miss Wancza?

W głosie jego tyle było rzewności serdecznej, w spojrzeniu tyle błagania, że Wandzia z uniesieniem uścisnęła rękę, którą jej podał.

— Przyjmuję! — rzekła.

— Będę ci więc bratem! — szepnął i jakby lękając się, by w nim nie dostrzeżono zbytecznej słabości, pocałował jej rękę i szybko wyszedł.

Nawet zimna mistress Fick nie mogła się od łez wstrzymać.

(C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

według oryginału obcego przez H. W.

(C. d.) Joanna słuchała słów z natężoną uwagą.

— I masz pan odpowiedź? zapytała namiętnie!

— Najobszerniejszą! Przeczytasz zresztą list sama. Jestem przekonany że tym chłopcem był młody pan Forest. Data, wiek, opis jak wyglądał, wszystko zgadza się doskonale z memi notatkami. Teraz wiem także, dlaczego wszelkie poszukiwania były nadaremne. Ci ludzie nie umieli ani czytać ani pisać. Obdarzeni — jak po największej części tutejsi wieśniacy niezwykłą głupotą i okrutnie leniwi w myśleniu, nie dali znać żadnej władzy, tylko czekali cierpliwie, rychło też kto zajrzy do ich chatki i chłopca sobie odbierze. Dr. Etienne robił poszukiwania w okolicy Brestu, to jest niewątpliwe, ale i on nie mógł mieć nawet wyobrażenia o tej nędznej osadzie rybackiej, złożonej z kilkunastu chat zaledwie. A jak wieś wsią, nigdy tam żadnego dziennika nie znano i nie widziano!

— A ci ludzie? przerwała Joanna z najwyższą niecierpliwością.

— Nie żyją! już od lat kilku. A że gromada bardzo biedna w ogóle, nie mogła i nie chciała utrzymywać tych chłopców osierociałych, więc syna jego rodzonego wziął jakiś rzemieślnik w małem miasteczku francuskiem na swoją opiekę, jako jego krewny daleki, a młody pan Forest znalazł umieszczenie u proboszcza we wsi pobliskiej, ale i ten także wyniósł się dawno z tej okolicy i parafię opuścił. Na tem list się kończy i moje tymczasowe wiadomości.

Joanna swobodniej odetchnęła. Jakkolwiek koniec nie był zadowalniającym, a nawet pod pewnym względem nie wiele zostawiał nadziei, jednakże dość było tej słabej wskazówki, żeby w niej poruszyć cały zapas sił umysłowych i energji niezwykłej. W jednej chwili objęła myślą pole działania i poczęła plan układać z całą jasnością i stanowczością.

— Przedewszystkiem musimy starać się odszukać ślad owego księdza. Gdyby to okazało się niemożliwem, rozciągnąć nasze poszukiwania na tego rzemieślnika, który wziął drugiego chłopca. Może on zachował jakie stosunki ze swoim bratem przybranym. Trzeba działać szybko o ile możności, żeby nie stracić i tej nitki przewodniej, słabiutkiej jak pajęczyna!

— To jest i moje zdanie! Chciałem tylko wprzód porozumieć się z tobą miss Jenny, a potem zacząć zaraz poszukiwania najenergiczniejsze. A! jeszcze jedno! Na twoje wyraźne żądanie zamilczałem dotąd o wszystkiem przed Alisonem. Ani przeczuwa że może istnieć na świecie jaki przyszły szwagierek! Czyby nie było teraz na czasie wspomnieć mu o tem?

— Nie! nie! — zawołała Joanna z niezwykłą szorstkością — nie prędzej aż będę miała pewność. Nie możemy przecież od niego ani żądać, ani spodziewać się pomocy w sprawie, która może go pozbawić połowy majątku, na który z pewnością liczy.

Cierpki ton w jakim te słowa były wymówione nie uszedł uwagi Atkins'a:

— Co było między wami? Harry taki jakiś nieswój ztąd wyszedł. Czyście się o co posprzeczali?

— Tak! — rzekła Jenny z szorstką otwartością — obraziłam go!

— A on?

— On! — usta Joanny wydęły się pogardliwie — umiał to znieść z filozofią!

Atkins brwi zmarszczył.

— Bądź ostrożniejszą Jenny! Alison nie jest człowiekiem, któryby zapominał z łatwością obelgę mu wyrządzoną, nawet przez ciebie! W tej chwili zniósł, bo nie mógł inaczej; nie zapomni on jej jednak nigdy i może kiedyś mścić się na tobie za to, czego dziś doświadczył. Znam ja go dobrze!

— I ja go znam! Bądź pan jednak spokojnym o mnie. Nie obawiam się wcale zemsty podobnej i pogardzam nią!

— Strzeż się podobnego tonu miss Jenny! przynajmniej w jego obecności! Mógłby łatwo sprowadzić zerwanie wszelkich między wami stosunków!

— Wątpię! — pan Alison wie dobrze, jaką okrągłą cyfrę przedstawia mu moja osoba.

Atkins z nieukontentowaniem potrząsł głową; w takiem usposobieniu nigdy jeszcze Jenny nie widział.

— Wiesz równie jak ja, że Alison bądź co bądź kocha cię szczerze, i byłby pokochał nawet nie majętną.

— I byłby mi ofiarował swoją rękę?

Atkins zamilkł.

— Oszczędź pan sobie tej gorliwej obrony! — odpowiedziała cierpko Joanna. — Wiem aż nadto dobrze, z jakich powodów spotyka mnie ten zaszczyt, że będę nosiła przezacne nazwisko Alison'ów!

Atkins zmierzył ją okiem przenikliwem.

— Czyż to dla ciebie co nowego, miss Jenny? mówił dalej powoli. — Czy nie było ci to tak samo wiadomem, gdyś mu pięć miesięcy temu rękę swą przyrzekła? A to przyrzeczenie, które otrzymał z łatwością jedyny spadkobierca i przyszła głowa domu: Alison et Compagnie! — wymówił te słowa z szczególnym naciskiem — czy byłabyś mu dała kiedykolwiek, gdyby był — przypuśćmy, prostym, ubogim biuralistą w tym samym domu?

Trafił doskonale! Joanna spuściła głowę, poczuwając się do winy. Przypomniały jej się własne słowa, któremi z taką zimną precyzją opisywała ojcu swoje zaręczyny. Wtedy wydało jej się wszystko tak naturalnem, wystarczającem! Wprawdzie upłynęło odtąd pięć długich miesięcy... Pięć miesięcy — i trzy dni!

— Widzisz więc — ciągnął dalej Atkins, ostro i nieubłaganie — że i u ciebie dolar odegrał główną rolę. Całkiem naturalnie! Ojciec wychował cię w zdrowych zasadach zimnego rozsądku i trzeźwego zapatrywania się na świat i życie rzeczywiste. Miłość jest zbytkiem, którego może sobie wprawdzie bogaty pozwolić — no,

Alison sobie i tego zbytku nie żałował — jednak nie trzeba w tem przesadzać i zapominać dla miłości o rachunku, który jest najpewniejszą podstawą społeczeństwa.

— Tak! w Ameryce! — odrzuciła Joanna z goryczą.

Atkins wzruszył ramionami.

— Może tu, w heroicznej Francji, znajdą się jeszcze głowy o tyle przewrócone, że miljon nie wywiera na nich najmniejszego wpływu. Może znajdą się ludzie, którzy gotowi w swojej dumie niepokonanej i nie naruszalnej, odwrócić się raz na zawsze od najbogatszej dziedziczki, jeżeli ośmieli się dotknąć ich wielkości w czemkolwiek! Nie możesz atoli brać za złe Alisonowi, że umie lepiej stosować się do okoliczności, i nie możesz mu z tego robić zarzutu, że rozsądnie liczy się z przyszłością. Tamci panowie mogą wyglądać nader bohatersko w swej dumie i nieugiętości, no! ale majątku z pewnością mieć nie będą przez całe życie.

— Masz pan słuszność — rzekła Joanna tonem lodowatym powstając z kanapy. — Każdy ma to, co mu się należy.

Atkins znowu wypatrzył się na nią, jakby nie mógł dobrze zrozumieć znaczenia tych słów. Teraz stała przed nim prawdziwa miss Forest ze swoją zimną, niewzruszoną powagą, a jednak słowa jej brzmiały cierpko, ironicznie. Ale któż Jenny potrafi zbadać i odgadnąć? Atkins dał też za wygraną i nie trudził się dłużej rozwiązaniem tej zagadki.

Podniósł się także i wyjął pugilares z kieszeni:

— Odeszliśmy od głównego przedmiotu. Oto list, w którym znajdziesz wszelkie szczegóły pobieżnie ci opowiedziane. Odczytaj go z uwagą, dziś wieczór obmyślimy plan kampanii, a teraz muszę cię pożegnać miss Jenny.

Joanna rękę mu podała.

— Dziękuję panu! A co się tyczy mego dzisiejszego usposobienia — tłumaczenie z trudnością jej przychodziło, czuła jednak tegoż potrzebę — nie uważaj pan wcale na nie. Jest się czasem w dziwnym, nerwowym rozstroju, którego nie można chwilowo opanować, a z którego przed samym sobą trudno by było zdać sprawę.

— Do zobaczenia!

Gdy Atkins wyszedł z domu, stanął zadumany i znowu potrząsł głową z niechęcią.

— Rozstrój nerwowy! hm! hm! To dziwne! Alison ma przeczucia! Ona w rozstroju nerwowym! To się dawniej obojgu nie przytrafiało! Ma słuszność poniekąd. Jenny jest zmienioną, ale co jej jest właściwie? Gdybym i ja jeszcze bawił się w przeczucia, powiedziałbym — tu pan Atkins rzucił okiem nader niełaskawie na fale rzeki, połyskujące w słońcu po za ogrodem — że jest coś w tutejszem powietrzu, w tej przeklętej rzece, co ją tak zupełnie odmieniło i co może nam jeszcze wielką biedę na kark zwalić!

V.

Przepowiednie polityczne młodego Amerykanina sprawdziły się aż nadto prędko. Francja drażniona, upokarzana w swojej dumie narodowej, rzuciła pierwsza rękawicę Prusom.

Była to heroiczna lekkomyślność, właściwa żywemu charakterowi francuskiemu. Liczył na nią przeciwnik, przygotowując powoli materjały, obrachowując dokładnie swe siły i gromadząc groźne zastępy.

Francja przeciwnie choć wyzywająca, nie była wcale do wojny przygotowaną. Dwór cesarski chłonął miliony! Zepsucie, idąc z góry, zalewało kraj cały i zarażało wszystkie warstwy społeczne. Wszędzie okazały się braki, luki, zdrady haniebne, oszukaństwo na wielką skalę!

Lud francuski nie przestał być bohaterskim. Zapał na początku wojny był ogólny, olbrzymi! Nikt się nie spodziewał tak smutnego rozwiązania. Ile było w Europie ludzi szlachetnych, dobrze myślących, wszyscy życzyli, wszyscy oczekiwali dla Francji zwycięstwa! Pierwsze potyczki były nawet dość pomyślne dla oręża francuskiego. Serca sympatyzujące z rycerską Francją uderzyły błogą nadzieją. Niestety, rozczarowanie nader bolesne wkrótce nastąpiło. Klęska po klęsce jak grom spadały! Wojska pruskie posuwały się coraz dalej, niszcząc jedną prowincję po drugiej. Wreszcie i fale Loary odbiły pruskie „pickel-hauby" i jej brzegi zbroczyła krew zwyciężonych na całej linji Francuzów.

Niedołęstwo niepraktykowane w dziejach świata oddawało armje krociowe, ze wszelkiemi zasobami wojennemi w ręce nieprzyjaciela!

Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Miasto L. wrzało także ogromnym zapałem. Studenci porzucali ławki szkolne, żeby zaciągać się pod chorągwie narodowe. Profesorowie zamykali katedry, zawieszali wykłady, by iść także, częścią jako oficerowie do czynnej służby, lub przynajmniej do lazaretów, jeżeli któremu wiek i siły nie dopisywały. Kobiety zbierały całą odwagę, żeby nie upaść pod ciężarem strasznych ofiar, które bądź co bądź na nie czekały. Krzątały się też niezmordowanie, przygotowując wedle sił i możności materjały, mające przynieść ulgę podczas wojny tak zdrowym jak i rannym. Zakres cichego miłosierdzia wiecznie zostanie jedynie stosownym dla kobiet podczas wojny. Na tem polu krwawem i łez pełnem mogą i powinne wystąpić z całą energją i całą im wrodzoną szczytną rezygnacją i zdolnością do poświęceń, czy to niosąc pomoc rannym w szpitalach, czy też przysposabiając w zaciszu domowem przybory wszelkie, potrzebne wtedy nieodzownie. Przed siostrą miłosierdzia każdy z uwielbieniem czołem uderzy — bohaterka walcząca z bronią w ręku w szeregach będzie zawsze anomalią, wywołującą na usta mężczyzn uśmiech szyderski, i po największej części zawadzającą im tylko.

Jedni nad drugich przesadzali się w ofiarności, wszyscy byli porwani uniesieniem bez granic. Wszelkie szranki były obalone; różnice kastowe, dotąd tak ściśle przestrzegane, istnieć przestały. Całe miasto złączyło się w jednem, potężnem uczuciu miłości, poświęcenia dla kraju, w jednej szczytnej myśli, aby ratować ojczyznę czem kto może: mężczyzni, niosąc jej życie w ofierze — kobiety przynajmniej cichą pracę i jeszcze cichszą, choć nie mniej gorąco modlitwę do Pana Za-

stępów, żeby zasłaniał ich najdroższych przed pociskami nieprzyjaciół.

Było to w pierwszych dniach tego ogólnego zamięszania, podczas cudownego dnia lipcowego. Joanna siedziała w pokoju z balkonem, którego drzwi były na oścież otwarte do ogrodu. Tam słońce jaskrawe wyłącznie panowało. Fale rzeki płynącej tuż za ogrodem odbijały jego gorące promienie; mijając się w powietrzu motyle różnobarwne przelatywały z kwiatka na kwiatek, krzaki róż najpiękniejszych wydawały woń upajającą! Dom cały napełniała cichość błoga, przerywana tylko tykotaniem zegara starożytnego, który był do garnituru dobrany z meblami gotyckiemi, równie jak on staremi i poważnemi. Zdawać się mogło, że mury tego domu i parkan ogrodu, odgraniczyło coś niewidzialnego, jakieś Bóstwo opiekuńcze, od reszty świata, pełnego w tej chwili zgiełku, wrzawy i przygotowań do wojny, ażeby ten kącik miał spokój niczem nie zamącony.

Twarz Joanny jednakże nie wyrażała wcale ciszy i spokoju. Pałała jakimś wewnętrznym niepokojem, oczy przebiegały gorączkowo drukowane szeregi dziennika, który trzymała w obu drżących dłoniach. Tak była zaczytana, że nie słyszała kroków nadchodzącego, póki nie stanął tuż przy niej we drzwiach balkonowych.

W czemże miss Jenny tak zatopiona? — odezwał się Atkins — cóż to za lektura tak interesująca? Ale co ci jest Jenny?

Joanna nagle podniosła się trzymając jeszcze ciągle dziennik w ręku. Gdyby nie była przyzwyczajoną do panowania nad sobą i nad wszelkiemi swemi uczuciami, twarz jej możeby była całkiem zdradziła wzruszenie gwałtowne, które nią owładło; jednak mimo siły woli, która jej dotąd nigdy nie zawodziła, nie potrafiła stłumić od razu bicia serca, ukryć rumieńca i ugasić ognia gorączkowego, który lśnił w jej źrenicach. Te wszystkie oznaki zadawały kłam jej słowom, gdy po pewnem wahaniu się, odpowiedziała:

— Mnie? nic nie jest — zupełnie nic... boli mnie trochę głowa od tego nieznośnego upału, przed którym aż tu się schroniłam, ale także nadaremnie.

Atkins wpatrzył się w nią niedowierzająco; nagle błysło mu w myśli, że jest jeden tylko przedmiot, który jest zdolny całą jej istność poruszyć.

Masz jakie wiadomości tyczące się naszej sprawy? — spytał żywo. — Jaki ślad nowy?

Joanna zapanowawszy teraz zupełnie nad wzruszeniem, złożyła dziennik spokojnie, i rzekła zwykłym głosem:

— Nic podobnego, zaręczam panu! Przeciwnie spodziewałam się od pana usłyszeć coś nowego.

Wzruszył ramionami:

— Nie mam dotąd żadnych doniesień, i nawet żadnych się nie spodziewam. Gdzież teraz władzom na myśli załatwiać prywatne sprawy! I czy byłoby to podobnem, kiedy wszystko do góry nogami przewrócone, szczególniej gdy z ludzi, żaden prawie na dawnem miejscu nie został. Dotąd nic nie wiemy, ani o księdzu ani o owym rzemieślniku, gdzie ich szukać. Mogą upłynąć tygodnie zanim odpowiedź nadejdzie. A gdy się wreszcie dowiemy, to w tym czasie komunikacje będą tak utrudnione, że będziemy znowu musieli czekać.

— Czekać! i wiecznie czekać! — zawołała Joanna gwałtownie — a tymczasem zgubimy i ten słaby ślad, który nas dotąd prowadził! O! że ci rybacy umrzeć musieli!...

— Co było największem szczęściem dla ciebie miss Jenny i twego brata — dokończył zimno Atkins. Ich śmierć wyrwała go z pomiędzy otoczenia zupełnie niestosownego, w które wtrąciło go nieszczęśliwe losu zrządzenie. Zdaje się, że ów proboszcz przyjął go w tytule wychowanka, można się więc spodziewać, że starał się nagrodzić, co w dziecięcych latach zaniedbano. W innym razie pierwsze wasze spotkanie miss Jenny, mogłoby wypaść najniefortunniej dla obojga! Nie wiem czy by ci to było obojętnem, gdybyś musiała zniżyć się aż do tej sfery ludzi zupełnie ograniczonych i tam pomiędzy nimi brata odszukiwać.

Joanna zamilkła pomięszana. Że brata znajdzie ubogim, na to była przygotowana, ale w klasie niskiej, upośledzonego moralnie, o tém nigdy nie pomyślała! I teraz to upokarzające przypuszczenie chwilę tylko owładło jej umysłem; otrząsła się zaraz z tego przykrego wrażenia, i cała jej duma przeciw temu protestowała!

— Krew ojca płynie w żyłach brata mego! Nie mógłby znieść poniżenia! Jeżeli żyje, w jakąkolwiek sferę go los przekorny rzucił, umiał pewno z niej się wydobyć i wznieść po nad nią własnemi zdolnościami, własną pracą! Jestem tego pewną!

— Nie ucząc się czytać ani pisać? Zapominasz miss Jenny, że twemu ojcu do wszystkiego co przedsiębrał, pomagało gruntowne wykształcenie. Kto ukończył, jak on, uniwersytet paryski, temu bez wątpienia świat stoi otworem. Taki zaś młody rybak — no! miejmy nadzieję, że ten jakiś pełen cnót i przymiotów duchowny oszczędził nam tej troski; ale i ta wojna nie lada nam figla wypłatała! Wszystkie nasze starania i poszukiwania gotowe teraz być zwichnięte.

Z ciężkiem westchnieniem usiadła Joanna napowrót. Atkins zbliżył się do stołu i wziął w rękę dziennik, który Joanna przed chwilą czytała.

— A! ten dziennik! Czytałaś wstępny artykuł, a raczej manifest do ludu francuskiego?

— Czytałam! — Joanna wymówiła to słowo ociągając się i głosem przytłumionym, jakby nie chciało przejść przez jej usta.

— Szczególna kompilacja! — mówił dalej Atkins, na pół drwiąco, na pół z powagą, nader rzadką u niego. Nie pojmuję jednakże, jak można wpakować taką masę poezyi w artykuł dziennikarski, prozą napisany. Że go pisał poeta, i to nie jeden z najgorszych, dałbym sobie głowę uciąć! Prosty dziennikarz pewno by się na niego nie zdobył. Jest on zanadto...

— Genialny! — dokończyła Joanna, i znowu jej ciemne oczy zalśniły dziwnym ogniem. (C. d. n.)

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(C. d.) Ciągnęliśmy rozmowę dalej i dalej — a tymczasem nowe potrawy przynoszono, i jedliśmy je tak długo, aż ja zupełnie nasycony się uczułem — i doktor także wyznać musiał, że jest syty.

Gdyśmy tak dawali folgę naszemu apetytowi, Halimach, kucharka Livingstona, zdradzała widoczne wzruszenie. Było w tem dla niej coś nowego, że dwaj biali ludzie, z tak wybornym żołądkiem, siedzieli, gdzie niedawno siadywał jeden tylko, który nie chciał jeść, bo nie mógł.

Dotychczas, na wielki jej smutek, zdawało się jej, że doktor nie umie ocenić godnie jej kucharskiego mistrzowstwa; teraz zdumiała się poczciwa dusza nad mnogością potraw, któreśmy spożyli i pławiła się w morzu rozkoszy.

Byliśmy w możności słyszenia, z jak wielką ruchliwością języka napływającemu tłumowi krajowców rozpowiadała najnowsze wiadomości. Podczas gdyśmy się jej przysłuchiwali, opowiadał mi Livingstone o jej zasługach i o tem, jakiego strachu doznała, usłyszawszy najprzód strzały, które oznajmiły przybycie białego do Udszidszi, jak w największem poruszeniu umysłu wpadła z kuchni do niego i znów na otwarte miejsce przed domem popędziła; jak go obsypała mnóstwem możebnych do odpowiedzi i niemożebnych kwestji, jak ubolewała że spiżarnia domu tak źle zaopatrzona i jak się troskała, jakby tu najlepiej ubogie gospodarstwo domu gościowi przedstawić. „A cóż? — rzekła dobra dusza, gdym się śmiał z jej kłopotów — czyż on nie należy do nas? Czyż nie przynosi mnóstwa materji i perel? Czemże są Arabowie w porównaniu z białymi!"

I tak w ten sposób bawiliśmy się dalej rozmową, aż wreszcie zeszliśmy na obecne położenie biednego doktora. Opowiedział mi, jak go to ciężko dotknęło, że za przybyciem swojem do Udszidszi wszystko sprzedane zastał, co zostawił, i że przez ten wypadek całkiem zubożał. Z bogatego zasobu materji bawełnianych, jaki pozostawił pijanemu krawcowi Szerifowi, którego konsul angielski wysłał z towarami — zostało jeszcze tylko sztuk dwadzieścia. Oprócz tego mocno na krwawą biegunkę chorował i stan jego był godny pożałowania.

Nareszcie jednak i ten dzień przeminął, najszczęśliwszy dzień mojego życia. Siedzieliśmy twarzami obróceni ku wschodowi, tak, jak Livingstone całemi dniami przed mojem przybyciem przesiadywał; przypatrywaliśmy się głębokim cieniom, które się na palmowym lesie, na tylnym planie wsi, układały. Słuchaliśmy z namaszczeniem wiecznego huku grzmiących o brzegi fal jeziora Tanganjika i podsłuchiwaliśmy brzęczący chór nocnych owadów.

Z serc naszych przelewało się wierzchem uczucie głębokiej wdzięczności dla najlepszego z ojców, dawcy dóbr wszystkich — tak siedzieliśmy całe godziny, rozmyślając o godnych uwagi zdarzeniach dnia tego, aż spadła mi na duszę myśl, że wędrowiec nie czytał jeszcze swoich listów.

— Doktorze — odezwałem się — czy nie wolisz pan raczej odczytać swoje listy?

— Istotnie — odrzekł — już późno. Dobrej nocy. Niechaj Pan Bóg pana strzeże.

— Dobranoc, kochany doktorze, pozwól mi się spodziewać, żem panu przyniósł dobre wiadomości.

Następnego poranku zbudziłem się wcześnie. Gdzież byłem? Tak, tak, znalazłem Livingstone'a i znajdowałem się w jego domu. Leżąc w łóżku, pytałem sam siebie, aby sobie jasno przedstawić obecne swoje stanowisko: Po co cię posłano do wnętrza Afryki? „Na poszukiwanie Livingstona." — Czyś go znalazł? — „Naturalnie, przecież jestem w jego domu." Czyjże kompas wisi tam oto na gwoździu? Do kogoż należą te suknie? Do kogo te buty? Kto czyta te gazety, rozrzucone po podłodze? Cóż poczniesz teraz? — Powiem mu, kto mnie wysłał i co mnie tu sprowadziło. Będę go prosił, aby napisał list do pana Benneta i doniósł mu tyle o swoich nowych odkryciach, ile za dobre będzie uważał. Mnie wystarcza, żem go znalazł. Już to jest sukcesem dla mnie, większym jednak będzie ten sukces, jeżeli mi da listy do pana Benneta i oznajmi, że mnie widział.

Czy wierzysz, że zrobi to? — „Dlaczegoż by nie? Czyż mu nie wyrządzam przysługi mojem przybyciem?" On nie ma przy sobie ani jednego człowieka, ja mam dosyć ludzi dla nas obu. Jeżeli ja jestem przyjacielsko usposobiony, dla czegożby on nie miał okazać mi swojej przychylności. Poeta powiada, że przyjaźń trzeba czemś kupić sobie. Czyż ja jego przyjaźni już przez to nie kupiłem, żem odbył tak daleką podróż, aby jemu wyświadczyć przysługę? Z tego, jakim go wczoraj wieczór widziałem, nic mi nie pozwala uważać go za takiego skąpca i wroga ludzkości, jakim go chce przedstawić człowiek twierdzący, iż go zna. Ściskając mi rękę nie mało był wzruszony, pomimo jednosylabowego pozdrowienia. A także nie uciekł przedemną, jak to we mnie wmówić chciano — chociaż znowu z drugiej strony zupełnie brakło mu do tego czasu. Jeśliby jednak to go drażniło, żem za nim gonił, to nie przyjmowałby mnie tak serdecznie, a tem bardziej nie wezwałby mnie do pozostania przy sobie — tylko w tym razie zgryźliwie byłby się wzbraniał widzieć mnie i mógłby mi był dać do poznania, że powinienem troszczyć się o moje własne stosunki — a on ze swojemi podobnie uczyni. A nawet nie wiele go obchodzi narodowość, gdyż sam powiedział, „że tu Amerykanie i Anglicy należą do jednego narodu. Mówimy tym samym językiem i mamy ten sam kierunek myśli." — Całkiem słusznie, doktorze — odrzekłem na to. — Podzielam w zupełności pańskie mniemanie. Tu przynajmniej powinniby Amerykanie i Anglicy być braćmi. A jeśli co dla pana mogę uczynić, gotów jestem uczynić to chętnie i po woli pańskiej. Rozporządzaj pan mną tak, jakbym był synem pańskim.

Ubrałem się spokojnie, z zamiarem zrobienia dobrego kursu spacerowego nad Tanganjika, nim doktor wstanie.

Gotów zupełnie otworzyłem drzwi i wyszedłem na werandę.

— Hallo, doktorze! — zawołałem ujrzawszy go nagle — i pan już jesteś w pogotowiu. Dobrze się spało?

— Dzień dobry, panie Stanley! Cieszy mnie to, że pana widzę. Jak się można spodziewać, miałeś pan dobrą noc? Co do mnie daleko w noc wczytywałem się w moje listy. Przyniosłeś mi pan dobre i złe wiadomości. Ale siadaj no pan.

Zrobił mi miejsce koło siebie.

— Tak jest — rzekł ciągnąc dalej — wielu z moich przyjaciół pomarło. Mojego starszego syna spotkała nieszczęsna przygoda, to jest mojego syna Toma. Mój drugi syn Oswald uczęszcza na uniwersytet i studjuje medycynę — powodzi mu się dobrze, jak słyszę. Agnés, moja najstarsza córka, bawiła dla przyjemności u „sir Paraffinea Younga" i jego rodziny. Sir Roderick również zdrów i wyraża nadzieję, że mnie niezadługo z powrotem zobaczy. Cały worek nowin przyniosłeś mi pan.

Człowiek więc stojący przedemną nie był jakąkolwiek senną marą mojej podsyconej wyobraźni, a com przeżył dnia wczorajszego, bynajmniej snem nie było.

— Powiedz że mi pan raz przecie, doktorze — spytałem — czy cię to nie zadziwia, że mnie tu widzisz?

— Naturalnie — odparł. — Z początku miałem pana za wysłańca rządu francuskiego, wyprawionego zamiast porucznika Le Saint, który o kilka mil powyżej Gondokoro umarł. Powiedziano mi, że pan masz łodzie, mnóstwo ludzi, towarów i wierzyłem ciągle, że pan jesteś francuskim oficerem — dopóki nie ujrzałem amerykańskiej flagi, powiewającej nad pańską karawaną. Wyznam panu prawdę, rad byłem z tego odkrycia, ponieważ nie mógłbym się nigdy z Francuzem tak dobrze bawić; a gdyby do tego jeszcze nie był umiał po angielsku — wtedy bylibyśmy miłą parką białych w Udszidszi. Nie chciałem pana wczoraj wypytywać, bo nic mi na tem nie zależało.

— No — odrzekłem — cieszy mię to ze względu na pana, że jestem Amerykaninem, i że się bez tłumacza rozumiemy doskonale. Uważam, że Arabowie dziwią się temu, iż Amerykanin i Anglik mogą się porozumieć z sobą. Nie potrzebujemy im mówić, że Amerykanie i Anglicy zawikłali się w wojnę z sobą, i że „Pretensje Alabamy" jeszcze nie są zaspokojone i mamy Fenianów w Ameryce, którzy was Anglików nienawidzą. Ale poważnie doktorze: czy nie będziesz się pan mnie bał, jeżeli mu powiem, żem za panem gonił.

— Pan, za mną?

— Tak jest.

— Jak mam to rozumieć?

— Czyś pan słyszał kiedy o „New-York Heraldzie?"

— Naturalnie — któż nie zna tej gazety?

— Więc posłuchaj mnie pan dalej. Bez ojca wiedzy i woli wysłał mnie James Gordon Bennet, syn Jamesa Benneta, właściciela „Heralda", aby pana wyszukać, o pańskich odkryciach donieść tyle, ile pan nam zechcesz zakomunikować — i jeśli to będzie możebnem — zaopatrzyć pana w środki.

— A więc młody Bennet powierzył panu tę misję. Nic dziwnego, że wczorajszego wieczora nie ustawałeś pan w pochwałach dla niego.

— Dumny jestem ze znajomości z nim. Jak go wczoraj opisałem, jest to dzielny, wielkiego serca człowiek.

— Jestem mu wielce wdzięczny i dumny z tego, że wy Amerykanie, tak mną się interesujecie. Przybyłeś pan tutaj w samą porę, gdyż zdawało mi się już, że będę musiał żebrać u Arabów...

Pomiędzy Livingstonem a Stanleyem zawiązał się prawdziwie przyjacielski stosunek, a młody Amerykanin w sprawozdaniu swem nie ma dość wyrazów na podniesienie zalet charakteru i serca, tak pod tym względem niesprawiedliwie osławionego, znakomitego podróżnika angielskiego. Wspólnie z Livingstonem odbył dłuższą wycieczkę po jeziorze Tanganjika, a dnia 13. marca, po kilkotygodniowej gościnie u niego z serdecznym żalem pożegnał go na zawsze, wiadomo bowiem, że w kilka lat później Livingstone w okolicach dopiero co opisanych zakończył pełen zasług dla umiejętności żywot. Stanley, odbywszy szczęśliwie wyprawę z powrotem do Zanzibaru, udał się prosto ztamtąd do Anglji z listami Livingstona do rodziny i przyjaciół. Osobnym listem podziękował Livingstone panu Bennett za tak szlachetne zajęcie się jego losem, a Stanleya zazdrośni zrazu i niedowierzający Anglicy powitali przecież serdecznie i z uznaniem, którego wyrazem było przyznanie ze strony londyńskiego Towarzystwa geograficznego dzielnemu Amerykaninowi najwyższej odznaki, jaką znakomity ten Instytut rozporządza: złotego medalu za wielkie odkrycia.

* * *

W trzy lata później redaktor angielskiego dziennika Daily Telegraph, któremu szlachetna inicjatywa Amerykanina Bennetta w podjęciu tak pięknej misji, jaką było odszukanie Livingstona pod równikiem, zapewne spać nie dawała, pewnego dnia z właściwą synom Albionu zimną krwią i spokojem, zagadnął bawiącego w Londynie Stanleya w następujący sposób:

— Czy chciałbyś pan dokończyć dzieła, rozpoczętego przez Speke'a i Livingstona? Jezioro Wiktorji na jednym zaledwie punkcie jest zbadane, Tanganjika dotąd pozostaje tajemnicą; co zaś do zachodniej strony Afryki, zgoła nam jest nieznaną. Czy zechcesz wypełnić tę próżnię?

Dziesięć wypraw nie wyczerpnęłoby wspomnionych zadań. Redaktor atoli Codziennego telegrafu wiedział, z kim ma do czynienia. Stanley nie zawahał się, chociaż znał trudności i niebezpieczeństwa, jakie go czekały.

— Dopóki mi życia stanie — odparł z prostotą — poświęcę się tej sprawie i doprowadzę ją do pomyślnego końca, jeżeli mnie nie zawiodą siły.

Wszakże dyrektor dziennika „New-York Herald", sir Gordon Bennett miał pierwsze prawo do usług Stanleya; wypadało go uprzedzić i zapytać o zdanie. Że zaś podług angielskiego przysłowia „czas, to pieniądz," nie zmarnowano długich tygodni na próżne korespondencje, ale wysłano następujący telegram do Nowego Yorku:

„Czy sir Gordon Bennett zechce się przyłączyć do redakcji „Daily Telegraph“, celem wysłania Stanleya do Afryki?“

Podmorski telegraf przyniósł nazajutrz bardziej jeszcze lakoniczną odpowiedź:

„I owszem.

Bennett.“

Pomijamy milczeniem olbrzymie przygotowania, które dla podobnej wyprawy są konieczne. Podróże Camerona, Bakera, samegoż nawet Stanleya, wtajemniczyły nas w tę mnogość trosk i starań, zapełniających dni i noce exploratora, zanim w daleką puścił się drogę. Wiemy już, co za nieprzeliczone zasoby perkalików, paciorków szklannych, naszyjników i naramienników, słowem błyskotek różnego rodzaju wypada z sobą zabierać, jako do handlowej zamiany stosowne przedmioty; znamy trudności towarzyszące zebraniu i dobraniu wiernej eskorty; wiemy nareszcie, jakiego rodzaju zasobów, ile broni i narzędzi koniecznie potrzeba afrykańskiemu podróżnikowi.

POGADANKA.

Pościmy więc i jak dotąd podobno nie mamy powodu użalać się na los swój. Zaczęły się rozmaite odczyty, wieczorki, teatra amatorskie i t. p. wielkopostne rozpamiętywania naukowe i artystyczne, którym na szczęście nie stoją na przeszkodzie wrażenia wczesnej wiosny, gdyż pani łąk i ptaszków, jakby przestraszona reklamą, uczynioną jej ostatnim razem na tem miejscu, powstrzymała nagle lutowe swe zapędy i pozwala nam jeszcze marznąć w marcu, jak Bogiem a prawdą w przyzwoitym kraju pod pięćdziesiątym i którymś stopniem szerokości geograficznej być powinno. Wiosna przed świętami Zmartwychwstania i nieśmiertelności duszy, to anachronizm w Zakarpaciu, tem niebezpieczniejszy, że zwykł pociągać za sobą bardziej jeszcze dotkliwy anachronizm: zimę w maju. Niechże sobie ptaszki i kwiaty siedzą jeszcze z jaki miesiąc „za górami“, a my korzystajmy dalej z wrażeń sezonu światła gazowego.

W lwowskiej kronice tegorocznego postu honorowe bezwątpienia zajmie miejsce odczyt p. Henryka Rodakowskiego o dzisiejszym stanie sztuk pięknych. Była to rzecz godna tak poważnego, tak na serjo pojmującego ideał artysty, jakim jest twórca „Wojny kokoszej“. W dosadnych słowach prelegent nacechował i napiętnował dzisiejszy realistyczny i zmysłowy kierunek sztuki, która przestała być bogów kochanką i zwiastunką, a stała się środkiem dogadzania poziomym instynktom zgorączkowanych tłumów. Dawniejsi mistrze ideału snuli z siebie czarowną nić natchnienia dla uczynienia zadość wewnętrznym porywom i zachwytom, tworzyli dla Boga, dla sztuki, dla własnej duszy, wreszcie dla nielicznego grona wybranych; dziś sadzą się na efekta, na drastyczność, a w najlepszym razie na nagą prawdę natury, gdyż chcą być rozumianymi przez milionowy ogół, który wznioślejszych ideałów pojąć by nie zdołał. — Są to poglądy jakby wyczytane w sercu wszystkich ludzi szlachetniejszych i odczuwających rzeczywiste piękno, którego sama miara natury w dziele ludzkiem nigdy dać nie może. Prelegent w końcu swego odczytu wskazał na tak niespodziewany a świetny wzrost sztuki polskiej w ostatnich czasach, co pozwala nam jeszcze mieć nadzieję lepszej przyszłości, nadzieję zwrotu do wspaniałego, czystego ideału epoki Odrodzenia. Słuchacze tym razem z prawdziwym żalem opuszczali salę odczytu, z żalem, że tak prędko przebrzmiało serdeczne, porywające słowo artysty-prelegenta, który niestety tak rzadko pozwala im korzystać z swej znakomitej wiedzy estetycznej, a co ważniejsza: z ożywczego ciepła swej duszy. Ubogim, na których korzyść był ten odczyt, zawdzięczamy chwil kilka pobytu w Panteonie...

Wielkiej doniosłości dla spraw wychowania publicznego był przedmiot dwóch odczytów profesora Politechniki tutejszej, pana Karola Maszkowskiego. Prelegent rozwijał swe poglądy na dzisiejszy, że się tak wyrażę „dualistyczny“ system szkół średnich, dzielący szkoły te na gimnazyalne i realne i będący powodem ciągłego wzmagania się proletarjatu inteligencji, powodem, że mamy tak wielu ludzi niedouczonych i tak wiele zwichniętych egzystencyj. Dziesięcioletniemu chłopcu wśród dzisiejszych stosunków każą wybierać „zawód“, albo stosownie do urojonych najczęściej przymiotów jego umysłu i skłonności, oddają go do szkół gimnazjalnych lub realnych, powiadając sobie: „będzie technikiem“ — „będzie prawnikiem“ — „będzie księdzem“ i t. p. Tymczasem biedny uczeń po przyjściu do świadomości siebie bardzo często widzi, że popchnięty został w świat w najniewłaściwszym i najmniej jego warunkom wewnętrznym i upodobaniu odpowiadającym kierunku, a ponieważ zwykle jest już zapóźno na przejście na inne pole nauki i pracy, zniechęca się, czuje się nieszczęśliwym i może być uważany za straconego dla społeczeństwa, jeżeli szczęśliwy jaki wypadek nie dopomoże mu w tej kolizji. Dla tego to szkoły średnie powinne być jedne, tak dla przyszłych techników, jak i dla księży, prawników, lekarzy i t. d., ażeby uczeń dopiero wtedy, gdy miał czas poznać siebie, a więc mniej więcej w ośmnastym roku życia, mógł wybrać sobie zawód, będąc przygotowanym do wszystkich bez wyjątku. Ten to pogląd reprezentował szanowny prelegent i wyłuszczył cały plan nauki w szkołach średnich, jaki w jego przekonaniu byłby najodpowiedniejszy dla zreformowania w duchu powyżej wskazanym dzisiejszych gimnazjów i szkół realnych. Jakkolwiek nie moglibyśmy bezwarunkowo zgodzić się na wszystkie szczegóły proponowanego przez prelegenta programu przyszłych szkół średnich, co mianowicie stosujemy do nakreślonego przezeń zakresu przedmiotów filologicznych i matematycznych, to jednak w zasadzie najzupełniej zgadzamy się z jego wywodami i mamy nadzieję, że wkrótce ta ważna sprawa zdoła zainteresować sfery kompetentne w tej samej mierze, jak już zainteresowała wszystkich ludzi myślących i Towarzystwa fachowe, dodać bowiem należy, że nasze Towarzystwo pedagogiczne od dłuższego już czasu zajmuje się gorliwie projektem reformy szkół średnich, a właściwa komisja jego przygotowuje gruntowny w tym przedmiocie memorjał.

Wieczorki Towarzystwa muzycznego już się rozpoczęły, a pierwszy odznaczał się programem zarówno, jak starannem wykonaniem. Już to każda produkcya muzyczna we Lwowie, oparta przeważnie na uczestnictwie artystów-amatorów, bez porównania lepiej wypada w całości, niż wielkie owe koncerty, do których ściągać trzeba siły „z całego świata“, zapożyczać się w archaicznej orkiestrze teatralnej, w kapelach wojskowych i t. d.

Zresztą — spokój... Już i dżuma przestała być straszną, a jeżeli czemkolwiek groźna ta zaraza dała się uczuć Europie, to chyba podrożeniem kawioru astrachańskiego, tego filaru reputacji rossyjskiej za granicą. Wszak pewien uczony Niemiec dawno już powiedział: „Nie znam filozofii rossyjskiej, nie słyszałem o jej istnieniu; ale kawior rossyjski jadłem i znajduję, że jest zupełnie godnym tak wielkiego mocarstwa, jak „Rossija“... *w. i.*

MYŚLI.

Aby być szczęśliwym, nie trzeba sławy, lecz honoru.

Na ziemi nie ma nic doskonałego, jednak powinniśmy dążyć do doskonałości, jak do czegoś, co osiągnąć możemy.

Spokój serca i sumienia, znaczy tyle w nas samych, co światło słoneczne w naturze.

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA. — WIEDZA.

— W krakowskiej Akademii umiejętności odbyło się w ostatnich dniach posiedzenie komisyi dla historyi i sztuki, na którem przewodniczący prof. Władysław Łuszczkiewicz w dalszym ciągu relacyi o wycieczce swej, w lecie roku zeszłego odbytej, zdawał sprawę o katedrze w Płocku pod względem architektury i pomniejszych zabytków sztuki. Następnie przedstawił przewodniczący materjały przygotowane do III i IV zeszytu sprawozdań komisyi, a wreszcie proponował, żeby się komisya zajęła zebraniem szczegółów do historyi malarzy krakowskich, bądź z zabytków sztuki po nich pozostałych, bądź z archiwów miejscowych czerpanych. Dyskusyę nad tym przedmiotem odroczono do następnego posiedzenia. — Komisja antropologiczna zajmowała się w tych dniach sprawozdaniem p. Wł. Przybysławskiego o przeszłorocznych poszukiwaniach w Horodnicy i jej okolicach, oraz p. Godfryda Ossowskiego o poszukiwaniach zeszłej jesieni w Prusiech Królewskich. Oba sprawozdania poparte były okazami złożonemi do zbiorów Akademii, między któremi najgodniejszy uwagi wydobyty przez p. Przybysławskiego z grobowiska przedhistorycznego wyrób ceramiczny dotąd jeszcze nieznany. Pisemne sprawozdanie p. Ossowskiego odczytał dr. Kopernicki, objaśniając je również nadesłanemi przezeń przedmiotami. Za jego pośrednictwem nadesłali dla Akademii ks. Jankowski z Gdańska ozdoby bronzowe z popielnicy wykopanej w Trąbkach; p. M. Baranowski z Gdańska popielnicę twarzową z Odyńca; p. Falak z Grudziądza siekierkę kamienną z okolicy Świecy; hr. Adam Sierakowski z Waplewa 2 pokrywy od popielnic z grobów skrzynkowych w Kobussewie; ks. G. Pobłocki z Chełmna ozdoby bronzowe i szklanne z grobowiska w Łebnie; p. M. Strusiński 3 popielnice z grobu skrzynkowego w Gogolinie; ks. Kłosowski z Grzywna 49 monet srebrnych i miedzianych. W końcu komisya uchwaliła przedstawić wydziałowi do zatwierdzenia wybranych na członków pp. Zygm. Radzimińskiego i Godfr. Ossowskiego.

— Na wystawę Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie nadeszły w ostatnich dniach następujące obrazy: Bronisława Abramowicza „Zniweczony podstęp“, Kazimierza Alchimowicza „Sieroty“, Mireckiego „Portret kobiety“, Świerzyńskiego „Imieniny ojca“ i Pociechy „Droga do wsi“, akwarela.

— Na wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie przybyły w ostatnich dniach: Abramowicza „Dama z medalionem“, Benedyktowicza „Jagoda“, Brandta „Zadymka“, Lessera dwa płótna historyczne „Królewicz polski Jan Kazimierz Waza, uwięziony we Francji r. 1639“ i „Władysław Łokietek ratujący się ucieczką z Krakowa, gdy mieszczanie wpuścili do miasta Szlązaków r. 1290“. W sali rzeźby umieszczone zostało popiersie zmarłego Leopolda Kronenberga odrobione z gipsu przez Teofila Godeckiego.

— Matejko, który dochód z wystawy obrazu swego w Warszawie „Bitwa pod Grunwaldem“ przeznaczył na cele dobroczynne, świeżo znów, jak donoszą dzienniki warszawskie rozporządził, ażeby dochód z wystawy najnowszego obrazu jego „Śmierć Władysława Warneńczyka“ obrócony był na korzyść sierot pozostałych po malarzu illustratorze „Tygodnika illust.“ warszawskiego, Franciszku Tegazzie.

— „Bitwa pod Grunwaldem“ Matejki pozostanie może własnością kraju, podobnie jak „Unia“. Myśl zbiorowego zakupna znakomitego obrazu krakowskiego mistrza znajduje chętnych zwolenników w Królestwie, a jak donosi jedno z czasopism warszawskich, dwaj obywatele i kupcy warszawscy, pp. Henryk Meylert i Aleksander Kowalewski oświadczyli się już z gotowością złożenia w tym celu 1.000 rubli.

— W Krakowie ukazać się miał w tych dniach na scenie udatny obraz ludowy p. t. „Noc świętojańska“, którego autorem jest p. Adam Staszczyk, ślusarz z zawodu, próbujący w wolnych od zajęć chwilach sił swoich na polu literatury ludowej. Jest to dowód, że literatura i u nas zaczyna się stawać popularną, przypuszczać się bowiem godzi, iż p. Staszczyk zanim pisać zaczął, musiał c z y t a ć. Do „Nocy świętojańskiej“ dorobił muzykę p. K. Hofman, profesor konserwatorjum warszawskiego.

— Wydział historyczny Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu odbył w tych dniach posiedzenie, na którego porządku dziennym był odczyt ks. kanonika Korytkowskiego; „Życiorys arcybiskupa Fryderyka Jagiellończyka.

— Wydawnictwo dzieł Juliana Bartoszewicza, dokonywane staraniem syna autora w Krakowie, postępuje naprzód. Wyszły już tomy III. i IV. stanowiące w ogólnym zbiorze dwa pierwsze tomy „Historji pierwotnej Polski.“

— Na pomnik zmarłego niedawno znakomitego fizyologa francuskiego, Klaudyusza Bernarda, robią składkę także lekarze polscy i rossyjscy w Warszawie. Suma dotąd zebrana wynosi 2.623 rubli.

— Na tegoroczny konkurs krakowski nadesłano następujące sztuki:

— C a r i d z i e, komedya historyczna w 3ch aktach; Z w o d n i c z e p o z o r y, komedya oryginalna, w 3ch aktach; Z p o s a g i e m, komedya w 4ch aktach, N i e p r o s z e n i g o ś c i e, komedja w 3ch aktach; Z ł o d z i e j e, komedya w 2ch aktach a 4 odsłonach, wierszem; M a ł ż e ń s t w o, komedya w 3ch aktach, prozą; A k t n o t a r y a l n y w m a ł ż e ń s t w i e, komedya w 3ch aktach, prozą; H r a b i a w k ł o p o t a c h, komedya w 3ch aktach, wierszem; te cztery sztuki podpisane nazwiskiem Stanisława Olendzkiego, co uchybia warunkowi

konkursu. Trzy plagi, obraz mieszczański w 3ch aktach; Gdzie szczęście? komedya w 2ch aktach; Dziwak, komedya w 3ch aktach a 4ch odsłonach; Krewniaki, komedya w 4ch aktach; Literaci w miasteczku, komedya w 5ciu aktach; Na bruku, komedya w 4ch aktach; Kochany szwagierek, komedya w 3ch aktach; Niespodzianka, komedya oryginalna w 3ch aktach; Lwica, dramat obyczajowy w 4ch aktach; Niewolnica, dramat na tle obyczajów rzymskich w 4ch aktach; Zofia Kmicianka, dramat historyczny w 3ch aktach; Pokrewne dusze, dramat w 5ciu aktach; Wincenty z Szamotuł, Trylogia; Iduna, dramat w 5ciu aktach; Joanna, królowa neapolitańska, dramat w 4ch aktach; Potęga kobiety, dramat w 4ch aktach; Izrael na puszczy, tragedya w 4ch aktach a 5ciu obrazach na tle biblijnem; Zborowscy, tragedya w 4ch aktach; Zemsta i miłość, tragedya w 5ciu aktach.

OŚWIATA.

— Stan oświaty w Królestwie Polskiem na początku r. 1877 w cyfrach statystycznych porównawczych przedstawiał się jak następuje: Szkół elementarnych było 3,184, uczących się 168.549 w tej liczbie chłopców 113.374, dziewcząt 55,175, w przecięciu na jedną szkołę po 53 uczniów i uczennic. Cyfra ta wzięta w stosunku do ludności w wieku szkolnym od lat 7—14, daje 16% uczących się, albowiem na 1,000 dzieci pobiera naukę $160^7/_{10}$. Środki utrzymania szkół elementarnych w Królestwie wynoszą rocznie 668.794 rsr. czyli na jedną szkołę przecięciowo 210 rs. Szkół średnich męzkich i żeńskich było 46 to jest: 1 gimnazjum klassyczne męzkie, 8 progimnazjów, 3 szkoły realne, 10 gimnazjów żeńskich i 7 progimnazjów żeńskich. Koszt utrzymania szkół średnich wynosił 898,234 rubli. Co do uniwersytetu warszawskiego, ten liczył 502 uczniów i 141 wolnych słuchaczów. Etat uniwersytetu wynosił 248,916 rs. Etat instytutu Now.-Aleks., który liczył 127 studentów, wynosił 46,333 rs. Koszt przeciętny kształcenia jednego studenta uniwersytetu wyraża się w cyfrze 496 rs. w instytucie zaś Now.-Aleks. 365 rs. Stypendystów w uniwersytecie warszawskim było 117. Z powyższych danych widzimy, że mniej więcej przy 6,800.000 ludności, wypada: 1 kształcący się w wyższych zakładach naukowych na 8,729 mieszkańców, jeden kształcący się w szkołach średnich na 560 mieszkańców, wreszcie jeden uczący się w szkołaeh elementarnych na 40 mieszkańców.

ODKRYCIA I PODRÓŻE.

— W ostatnim roku, kosztem rządu duńskiego, dokonana została ciekawa i w rezultaty naukowe bogata wyprawa do wnętrza tak mało dotąd znanej Grenlandyi, mianowicie do tak zwanej „pustyni lodowej", zajmującej niezmierne obszary owej smętnej, północnej krainy. W wyprawie tej, oprócz młodego geologa duńskiego Steenstrupa, wziął udział porucznik marynarki Jansen, technik Kornerup, architekt Groth, i pewien młody Grenlandczyk. Wyprawa podzieliła się na dwie części, z których jedna pod dowództwem Steenstrupa zwiedzała północną, druga pod Jansenem południową Grenlandyę. Jansenowi powiodło się po lodach lądowych dotrzeć dalej w głąb Grenlandyi, niż zdołały dokonać tego wszystkie poprzednie wyprawy. Wybrał się on z kolonii Frederikshaal, mając żywność na trzy tygodnie, oraz wszelkie potrzebne przybory na trzech saniach. Namiot z płótna żaglowego, który wziął z sobą, miał podłogę gutaperkową, zamiast łóżek towarzysze wyprawy mieli duże, ciepłe wory poduszkowe, w których człowiek cały ukryć się mógł z głową. Na sposób grenlandzki za obuwie używali chodaków ze skóry psów morskich. Podeszwy z plecionego szpagatu już w początkach wyprawy okazały się nieużytecznemi, ponieważ ostry lód rozcinał je. Pochód rozpoczęty d. 14. lipca musiał być wnet przerwany z powodu gęstej mgły, na dzień cały. Podróżni zwiedzili tymczasem szczyty gór pobliskich, i na jednym z nich złożyli jako zapas część swojego prowiantu, oznaczywszy to miejsce dla łatwiejszego odpoznania kupą głazów. Od tego miejsca już nie spotkali okolic wolnych od lodów aż do samego kresu swej podróży. Niezmierny obszar gładkiego jak szkło lodu roztaczał się przed nimi. Powierzchnia tej pustyni lodowej miejscami poprzecinana była głębokiemi szczelinami, które często musieli podróżni obchodzić. Na ścianach ukośnych tych szczelin znajdowały się niekiedy stożki lodowe, do 3 metrów wysokie. Wspaniale przedstawiały się oczom podróżnych efekta światła w pośród tych lodowisk bezgranicznych, zwlaszcza lazurowe odcienie na ścianach szczelin. Można sobie wyobrazić jak uciążliwa była przeprawa z ciężko wyładowanemi saniami po lodzie ostrym jak szkło, i po zaspach śnieżnych. Podróżni często zapadali się wyżej pasa w śnieg lub szczeliny lodowe, zawsze jednak wyszli szczęśliwie z takich wypadków. Od silnych odblasków światla wszyscy cierpieli na oczy. Wieczorem jedenastego dnia stanęli u celu podróży, u podnóża gór wznoszących się na 1250 metrów nad poziom morza, z których największa jednak sięgala jeszcze o 300 metrów wyżej. U stoków gór tych znaleźli nader ubogą wegetacyę, same tylko porosty i mchy, których zresztą w ciągu całej podróży nie widzieli. Świat zwierzęcy był reprezentowany przez kilka ptaków śpiewających i pająków. Podróżni ku największemu zmartwieniu swojemu nie mogli pokusić się o zwiedzenie szczytów gór, ponieważ pominąwszy wycieńczenie sił, zaskoczeni zostali burzą śnieżną, która srożyła się przez $7^1/_2$ dnia naprzemian z ulewnym deszczem i zamoczyła im cały namiot, żywność i zapas spirytusu do gotowania. Musieli w końcu jeść tylko zimne potrawy i to w jaknajmniejszej ilości, ażeby nie wyczerpać skromnego zapasu przed powrotem do Frederikshaal. W sześć dni też podróżni szczęśliwie dostali się tam i powitani zostali z wielką radością przez Grenlandczyków, którzy uważali ich już za straconych na lodowej pustyni, której noga ludzka przedtem nie dotknęła jeszcze.

— Dziennik *Times* otrzymał z Afryki zajmujące szczegóły o pobycie uczonego Hugona Hoppenfelsa wśród plemion murzyńskich, które dotychczas nie miały jeszcze styczności z „białymi ludźmi", a zamieszkują okolice rzek Muni, Noya, Balini i Tambuni, oraz gór Kryształowych. Są to ludy niezmiernie jeszcze naiwne i posiadają wiele dobrych przymiotów. Na „białego człowieka" patrzały jak na jakie zwierzątko, lecz nie odmawiały mu pomocy, jeśli jej zażądał. Plemiona te dużo cierpią od słoniów i gorylasów, które ogromnemi stadami nachodzą wsie ich i pustoszą często cały dobytek mieszkańców. Opędzają się od nich biedni murzyni tylko krzykiem, skuteczniejszej broni bowiem nie znają. Podczas pobytu dra. Hoppenfelsa w jednej z wiosek takich powstał był pewnej nocy alarm, że słonie i małpy są w pobliżu. Wszyscy mieszkańcy

bez różnicy płci i wieku wyszli na to hasło za wieś i podnieśli wrzawę piekielną prawdziwie, naczelnik plemienia zaś wystąpił naprzód i miał mowę do słoniów, z której na razie nasz uczony tyle tylko rozumiał, że jego nazwisko było kilkakrotnie wymieniane. Później dopiero dowiedział się, iż czarny mowca groził słoniom, że jeżeli nie pójdą sobie w pokoju, odda ich obecnemu oto białemu człowiekowi, który je swojemi piorunami (wystrzałami) pozabija!

STATYSTYKA.

— Armie stałe państw europejskich na stopie pokojowej liczyły z końcem roku ubiegłego 2,437.440 ludzi i 400.000 koni. Ogromna ta ilość sił roboczych nietylko przepada rok rocznie marnie dla ekonomii krajów europejskich, ale pochłania olbrzymie zasoby pracowitych ludzi na swe utrzymanie, które rocznie kosztuje półtora tysiąca milionów guldenów! Najliczniejszą armię na stopie pokojowej utrzymuje Rossya, 575.000 ludzi; za nią idzie: Francja 496.354, Niemcy 418.821, Austrjo-Węgry 267.000, Włochy 220.000, Turcja 150.000, Hiszpania 100.000, Belgia 45.000, Szwecja 36.504, Portugalia 35.733, Holandja 32.000, Dania 18.106. Grecja 12.000, Norwegia 12.000, Rumunia 11.613, Serbia 4.222, Luksemburg 513 i Czarnogóra 100.

— Z zestawienia, dokonanego przez redakcyę londyńskiego czasopisma *Globe* wynika, że coroczny, przeciętny zbiór wszystkich rodzajów zboża w całej Europie, wynosi około 3110 milionów centnarów, w której to ilości znajduje się 500 milionów ct. pszenicy. Nie wystarcza to jednak na potrzeby ludności, kraje europejskie więc muszą sprowadzać zboże, mianowicie pszenicę, ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Chili, Algieru, Egiptu, Australii i Indyj wschodnich, które razem produkują rocznie 650 milionów centnarów pszenicy. Ogólna wartość tej produkcyi na podstawie niskich cen ostatniorocznych obliczona została na 25.000 milionów mark, a po odtrąceniu kosztów przewozu i cła na 20.000 milionów mark. Najwięcej z importowanej pszenicy korzysta Anglia, której pięciomiesięczną konsumcyę zaspokoić musi handel przywozowy; Francya potrzebuje do roku pszenicy na trzytygodniową konsumcyę, Niemcy na sześciotygodniową. Dawniej wyłącznie prawie zaopatrywała Anglię w pszenicę Rossya, gdzie wywóz pszenicy stanowił 50 procentu całego handlu eksportowego, a i teraz, pomimo że Anglia sprowadza ogromne zasoby pszenicy z innych części świata (w roku 1877 z samej Ameryki 80,000.000 centnarów), rossyjski wywóz pszenicy zwiększa się z każdym rokiem tak, że w r. 1877 wynosił 78,000.000 centnarów.

DROBNOSTKI.

— Liny telegraficzne podmorskie często się przerywają, co spowodowuje chwilową przerwę komunikacji. Największym ich nieprzyjacielem jest żyjący w morzu mikroskopijny owad „toredo", który się czepia gutaperkowej powłoki linji i zwolna ją toczy. Nieraz wielkie ryby morskie, tak zwane mieczniki próbują na linach kabelowych swej piły i przecinają je, jak się to zdarzyło niedawno w pobliżu Antylów. Pod Hawanną znowu zniszczyły linę taką żółwie morskie. W zatoce Perskiej olbrzymi wieloryb z taką gwałtownością rzucił się na linę telegraficzną że ją przerwał, a potem uwikławszy się w pływające jej końce, znalazł w nich śmierć. Na morzu Śródziemnem dwukrotnie piorun zniszczył linę, przy brzegach południowej Ameryki zaś zniszczyło ją trzęsienie ziemi. Niejednokrotnie też liny parte prądami morza tak długo trą się o ostre krawędzie skał na dnie, aż w końcu i powłoka i drut się przerwie.

NEKROLOGJA.

— W Warszawie zakończył przed kilkoma dniami życie ojciec znakomitego naszego malarza Hipolit Siemiradzki, emerytowany generał, przeżywszy lat 74. Ś. p. Siemiradzki był człowiekiem wielkiej zacności, słodkim w obejściu, dlatego też posiadał szacunek powszechny. Należał, jak powiada jeden z dzienników warszawskich, do rzadkich już dziś typów, które na gruncie rodzinnych i społecznych tradycyj, pod ożywczem światłem wiary, ukształtowały się w postacie wzorowe i sympatyczne.

— Znany w piśmiennictwie pod pseudonimem Józefa z Mazowsza poeta i krytyk estetyczny Józef Wojciechowski, umarł w tych dniach w Warszawie po kilkoletnich cierpieniach suchotniczych. Wojciechowski urodził się w Warszawie w r. 1840, tutaj się kształcił, i tu największą część życia przepędził na urzędowaniu i współpracownictwie do pism czasowych. Chwile wolne od prac obowiązkowych dla chleba powszedniego poświęcał ś. p. Józef z Mazowsza poezyi, powieściopisarstwu i dramaturgji. Jego poemat biblijny Judyta ogłoszony w r. 1862, powieść Kobiety i Mężczyźni z r. 1871, oraz dramat z czasów pogańskiej Słowiańszczyzny Margraf Gero ogłoszony w r. 1873, mają niejedną kartę niezrównanej piękności i siły. Ostatnią znaną nam jego pracą poetyczną był przekład Królowej Maryi Tennyson'a dla „Biblioteki Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej" p. S. Lewentala. Ostatniem studyum estetycznem była rozpoczęta w „Tygodniku Illustrowanym" ocena „Grunwaldu" Matejki; pracy tej jednak dokończyć już nie mógł, i pozostała niedomówiona na wieki. Nie wszystkie przekonania ś. p. Wojciechowskiego — powiada *Gazeta Warszawska* — były naszemi przekonaniami; trwały most jednak między niemi stanowiła nieskazitelna prawość i słodycz charakteru zmarłego. Można się z nim było nie zgadzać, ale szacunek dla niego był obowiązkiem, co nie tak często zdarza się na świecie.

— W Warszawie zakończył życie dnia 26. lutego sympatyczny illustrator „Tygodnika illustrowanego", utalentowany rysownik i malarz Franciszek Tegazzo, licząc lat dopiero 49. Zmarły był rodem z Warszawy, gdzie też odebrał początkowe wykształcenie w zawodzie malarskim, które uzupełnił w petersburskiej akademii sztuk pięknych. Tegazzo pozostawił wdowę i pięcioro niezaopatrzonych dzieci.

PAMIĘTNE ZDARZENIA.

— Nihiliści moskiewscy po generale Trepowie i Mezencowie znaleźli dla siebie nową ofiarę. W nocy na 22. lutego generał gubernator charkowski, książę Dymitr Krapotkin, wracając z balu, ugodzony został śmiertelnie wystrzałem z ręki skrytobójczej i w kilka dni później zakończył życie. Mordercy jeszcze nie wyśledzono.

Rozmaitości.

Budowniczy Iwana Groźnego. Włoch pewien, wykształcony na dworze Medyceuszów, znany w historji z zamiłowania do sztuk pięknych i smaku wytwornego, miał sobie polecone w r. 1554 wybudowanie w Moskwie kościoła, na pamiątkę zdobycia prowincji Kazańskiej. Kościół ten miał nosić tytuł „Marji pełnej miłosierdzia“. Trudna to zagadka do rozwiązania, co właściwie natchnęło tą myślą pobożną despotę straszliwego, który wiecznie krwi ludzkiej łaknął. W owym czasie nie uczuwał on jeszcze najlżejszych wyrzutów sumienia; przeciwnie, deptał nogami prawa Boskie i ludzkie. Długo jeszcze potem zabawiał się ten tyran krwiożerczy mordowaniem ludzi w sposób najrozmaitszy i najwyszukańszy! Za jego panowania ludzi kołem łamano, na pal wbijano, ćwiertowano, ze skóry pasami obdzierano, nad powolnym ogniem smażono, na krzyż wbijano, jednem słowem nie było śmierci tak okrutnej, której by on dla swoich ofiar nie wymyślił. Neron i Calligula, ukoronowane potwory czasów rzymskich, wyglądali jeszcze łagodnymi jak baranki, w porównaniu z Iwanem Groźnym.

Hordy jego przebiegały kraj cały, paląc, niszcząc i plądrując. W tym pochodzie tryumfalnym nie jeden kościół i klasztor padł w gruzy, przez nich spalony i zrabowany. Może też budowa „Marji miłosierdzia“ miała wynagrodzić zniszczenie dawnych świątyń Pańskich.

Iwan rozkazał budowniczemu, który tak lekkomyślnie wpadł w jego szpony, nie szczędzić kosztów, byle gmach przeszedł wspaniałością wszystko, co do dziś dnia na świecie istniało. Nie było mu atoli wolno naśladować jakikolwiek z wzorów, istniejących w jego mieście rodzinnem, we Florencji, słynnej z pysznych gmachów. Musiał stworzyć coś zupełnie odmiennego, potwornego, coby zadowoliło dziki i niezwykły gust tyrana. Włoch zbudował też kościół, który do dziś uderza oryginalnością wśród trzystu cerkwi miasta Moskwy. Na jego dachu znajduje się siedemnaście kopuł, które mają kształty podobne do cebul, melonów, dyń, ananasów, szyszek świerkowych i są pomalowane na kolor pąsowy, niebieski, żółty, i t. p.

Iwan był niesłychanie zadowolony imponującą całością budynku i udarował Włocha dużym worem złotych pieniędzy, gdy tenże przyszedł cara pożegnać przed odjazdem do swojej ojczyzny, w dodatku zaś rzekł mu te słowa:

— Abyś nie miał pokusy coś podobnie wspaniałego w twojej ojczyźnie powtórzyć, każę ci przed odjazdem oczy wyłupić.

Daremnie błagał i zaklinał się Włoch biedny, że z pewnością wykwintnego smaku Medyceusze, nie będą od niego żądać, by melonami i cebulami gmachy im ozdabiał; na rozkaz cara oczy mu wyłupiono, w którym to smutnym stanie długie jeszcze lata w Moskwie przeżył. Nieszczęśliwy ślepiec! nie miał już po co wracać do swojej pięknej ojczyzny.

Włosy fałszywe. W Europie używał peruki pierwszy Ludwik Św., król francuski, aby nią zastąpić własne włosy, które mu w Palestynie wypadły. Z tego też powodu został on patronem wszystkich perukarzy świata katolickiego. Matka króla, królowa Bianka, widząc że jej syn łysy powrócił, wpadła na myśl szczęśliwą: oto wziąwszy nożyczki, każdemu dworzaninowi, który miał włosy podobne do królewskich, własnoręcznie odcięła lok jeden, z których uszyła potem prześliczną perukę. Od tego czasu peruka weszła w modę, a ponieważ damy nie chcąc się kontentować własnemi włosami, które często bywają krótkie, warkocze sobie przypinają, więc handel włosami stał się powszechny i prawie tak rozległy, jak kawą lub indygiem. W Danji a jeszcze więcej w Szwecji, gdzie lud jest biedny, pojawiają się tajemniczy agenci, dźwigający na plecach towary rozmaite. Taki agent widząc, że mąż wyszedł w pole, zakrada się do chaty i tam pokazując piękne chustki, namawia wieśniaczkę, ażeby sobie pozwoliła włosy obciąć. Między temi włosami znajdują się długie na półtora metra — ale jeden warkocz takich włosów kosztuje 500 franków. Nie każda więc piękność może przyjść w posiadanie takiego klejnotu.

Odwaga czy spryt? Pewna, bardzo piękna i bogata dama, mieszkająca w Montreal, porządkowała raz wieczorem swoje drobiazgi toaletowe, gdy w tem spostrzegła na podłodze przed sobą cień, będący sylwetką człowieka, ukrytego pod stołem w sąsiednim pokoju. Sylwetkę narysowało światło lampy, ustawionej w rogu pokoju na krześle, a wpadające do salonu ukośnie. Dama zaczęła obserwować cień tajemniczy i spostrzegła, że sylwetka człowieka ma tylko dwa palce u prawej ręki; przypomniała sobie zaraz mnóstwo rozbojów i kradzieży, dokonanych w jej sąsiedztwie, o które był posądzony murzyn Jeff, zuchwały zbrodniarz. Pani, której mąż nie był w domu, nie straciła przytomności, chociaż z nią była tylko jedna służąca. Zdobywszy się na nieprawdopodobnie krew zimną, weszła z lampą do salonu, usiadła przy stole, pod którym zbrodniarz czyhał i zasłoniwszy go suknią, zawołała na służącą — Ach! jaki nieznośny! dotąd brylantów nie odsyła! — Gdy weszła służąca, pani napisawszy słów kilka, rzekła: — Idź do pana Torfar i powiedz mu, że brylanty, które mu dałam do odczyszczenia, muszę mieć dziś koniecznie! — Służąca wyszła. Dama została sam na sam ze zbrodniarzem. Nareszcie dzwonek się odezwał. Pani woła: — Ach moje brylanty! — i biegnie otworzyć. Łatwo się domyśleć, że na karteczce, z którą wyszła służąca, było żądanie nie brylantów, lecz pomocy. Spodziewana pomoc w rzeczy samej przyszła i pojmano zbrodniarza, który onieprzytomniał w obec tak genialnego fortelu. Co więcej podziwiać w tej osobie: spryt czy odwagę?

Świadectwo Napoleona I. W starej księdze p. Keralis, który był inspektorem francuskiej szkoły wojskowej, znajdują się o młodym Bonaparte następujące uwagi: „Pan Bonaparte, ur. 15. Sierpnia r. 1769, wysoki 4 stopy, 10 cali, 11 linji. Dobrze zbudowany, zdrowie wyśmienite, posłuszny, uczciwy i wdzięczny, zachowanie wzorowe; do matematyki przykłada się z wielką pilnością; nie źle umie historję i geografię; bardzo słaby w znajomości sztuk pięknych i łaciny. Będzie z niego dzielny marynarz!“

Charakterystyka miast europejskich. Amsterdam handluje — Ateny konspirują — Berlin nadyma się — Bruksela debatuje — Drezno podziwia samo siebie — Dublin żebrze — Edynburg śni — Florencja gapi się — Frankfurt liczy — Hamburg je — Hanower buduje — Kraków gniewa się na Lwów — Konstantynopol kąpie się — Kopenhaga maluje się — Lipsk czyta — Lizbona dąsa się — Londyn ziewa — Lwów obrzuca błotem siebie i Kraków — Lyon pracuje — Madryt pali cygara — Marsylja śpiewa — Monachjum pije — Neapol poci się — Palermo wachluje się — Paryż gawędzi wesoło — Peszt papla — Petersburg milczy — Rzym modli się — Stokholm bawi się — Wenecja kocha się — Warszawa wzdycha — Wiedeń trawi rozmaite systemy polityczne, a strawić ich nie może.

Nowa reklama. W Paryżu, jeden z reporterów dostrzegł na rogach ulic ludzi, którzy uporczywie wciskali w paszcze przebiegających psów kartki zadrukowanego papieru. Badał on przyczynę tej manipulacji i doszedł, że na owych kartkach mieści się ogłoszenie krawca, który produkuje dla rasy psiej wygodne paltoty futrem podbite, po trzy franki, 75 centymów za sztukę. O! reklamo! — jakże daleko sięga twe panowanie!

Dowcip Chińczyka. Członek chińskiego poselstwa w Berlinie rozmawiał na balu dworskim z pewnym dyplomatą niemieckim, który wszczął gawędę o rozmaitych ubiorach i zwyczajach. Dyplomata zapytał: — Na co właściwie Chińczycy noszą harcopfy? Ponieważ na nich nic się nie wiesza, więc są całkiem zbyteczne. — Chińczyk uśmiechnął się, a wziąwszy dyplomatę za guzik, który tenże miał w tyle fraka, rzekł: — A Europejczycy na co noszą te guziki? Przecież na nich nic nie wieszają — więc i one są zbyteczne. — Obadwa roześmieli się głośno, bo przyszli do przekonania, że świat, w którym żyją, jest doprawdy zabawny.

Cel uświęca środki. Do właściciela handlu winnego rzekł gość: — U pana wino jest tak kwaśne, że aż język ściąga. — „Ja umyślnie tylko takie utrzymuję — gospodarz odpowiedział — ponieważ chcę, by mi jak najwięcej gości ściągało.“

Tłumaczenie próżniaka. — Czemu nie pracujesz? — zapytał wagabundę komisarz policji. — „Gdybym pracował — odpowiedział — musiałbym płacić podatek zarobkowy, a na to nie mam pieniędzy.“

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.